Biblioteka UMCS Lublin

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 11-go sierpnia 1945r.*** | **Rok VII. Nr. 32**

Z ZACHODEM

Jest słuszne, że żołnierz musi być zdala od polityki. Ale trzeba odróżnić czynny udział w polityce od rozumienia najistotniejszych zagadnień polityki zarówno zagranicznej, jak i wewnętrznej. Szczególnie w okresach przełomowych, okresach decydujących o losie narodu i jednostek szuka się odpowiedzi na pytanie: jakie jest nasze położenie dokąd dążymy?

Jest oczywiste, że dziś przede wszystkim widzimy i odczuwamy klęskę własnego Kraju, klęskę jakiej Polska bodaj nigdy w historii nie zaznała. Ta klęska tak dalece wypełnia nasze myśli, że po prostu nie jesteśmy w stanie zajmować się innymi zagadnieniami, ani rozumować spokojnie i chłodno.

Przypomnijmy sobie nasze położenie na początku tej wojny. W 1939 roku, gdy cały Naród zdecydował się powiedzieć Hitlerowi: n i e, wiedzieliśmy, że czeka nas ciężka walka. Zdecydowaliśmy się na walkę, bo wiedzieliśmy lub czuliśmy w głębi naszych serc, że istotą tej walki są już nie nasze domy, nie nasz dobytek, nawet nie nasze życia — ale samo nasze prawo do wolności i niepodległości. Można być nędzarzem, ale być wolnym, a można opływać w dostatki i być niewolnikiem. Myśmy wybrali świadomie to pierwsze: WOLNOŚĆ.

Wolność jednostek i całych narodów jest możliwa tylko w świecie chrześcijańskim. Nauka Chrystusa w ciągu dwudziestu wieków budowała i buduje podwaliny prawdziwej równości i wolności jednostek i narodów. Poprzednia wojna światowa, której wielu z nas nie może pamiętać, przyniosła wyraźną zapowiedź ogólnej szczęśliwości w wolnym świecie. Wydawało się, i było tak w istocie, że w świecie prawo i sprawiedliwość zaczynają górować nad siłą i nieprawością. Niestety, po zakończeniu obecnej wojny, która przecież rozpoczęła się w imię najszlachetniejszych haseł, nie osiągnięto pomimo zwycięstwa tych wielkich celów. Zwyciężono tylko materię, ale ducha nieprawości nie pobito, istnieje on i zatruwa wszystko dokoła.

Do tej pory, jak to powiedział premier Churchill, w Europie nie zapanowały jeszcze prawo i sprawiedliwość, a miejsce hitlerowskich katów zajmują rządy totalne i policyjne. Zwycięstwo sił zbrojnych stało się klęską wielkich idei demokracji i najistotniejszych zasad chrześcijaństwa. Zachodni świat przegrał wojnę, chociaż zwyciężył Niemców.

Wina narodu niemieckiego jest głębsza niż to chce się widzieć w świecie. Poprzez hitleryzm naród niemiecki pokazał, że nie należy do świata zachodniego. Niemcy postawili sobie za cel ujarzmienie i wykreślenie z karty Europy Polski a za nią następnych narodów. Zbyt wielka i znana jest lista ich zbrodni. Toteż gdy mówię o Zachodzie, wyłączam z niego Niemcy.

Dzisiaj ten prawdziwy Zachód wmawia w siebie fakt zwycięstwa, wszystkie gazety i rozgłośnie trąbią o zwycięstwie, o Karcie Narodów Zjednoczonych wypracowanej w San Francisco, o triumfie demokracji i sprawiedliwości. Prawdziwe zwycięstwo nie potrzebuje takiej reklamy: czuje się je głęboko i widzi się je wszędzie. Trzeba widocznie wmawiać w rzesze obywateli, że ich ofiary przyniosły zwycięstwo, gdyż naga prawda przegranej wojny oraz zmarnowanej krwi i wysiłków byłaby zbyt brutalna.

Nas Polaków nie sposób przekonać o zwycięstwie. Klęskę własną czujemy zbyt mocno i zbyt wielkie mamy zastrzeżenie do zwycięstwa Zachodu.

Było by jednak błędem sądzić, że tylko my zdajemy sobie z tego sprawę. Wszystkie narody wychowane w tradycjach kultury rzymskiej oraz te które szczerze pragną układać swoje życie według wzorów Zachodu — wszystkie te narody widzą lub czują, że zwycięstwo już nie jest zwycięstwem, ponieważ zgubiono te ideowe drogowskazy, które wytyczały drogę na początku walki.

Taka jest istota dzisiejszego stanu rzeczy w świecie. Walczono o panowanie prawa i demokracji, ale nie zwalczono panowania siły oraz totalizmu. Dlatego właśnie mamy zastrzeżenia co do zwycięstwa Zachodu.

Czy po stwierdzeniu faktu przegranej wojny mamy opuścić ręce i powiedzieć sobie, że już nigdy nie zdołamy pomóc naszej sprawie, a więc pozostaje nam tylko bierne poddanie się rzeczywistości? To znaczy uznanie obecnego stanu rzeczy w Polsce i poddanie się woli narzuconych nam obcych władców? Chyba nie. Było by to dobrowolnym przekreśleniem wszystkich naszych i naszych braci w Polsce nadziei i pragnień. Było by to danie wszystkim prawa do twierdzenia, że sprawa polska jest ostatecznie załatwiona i nie należy się nią zajmować, skoro nawet Polacy pozostający na wolności bez przymusu uznali obecny stan. Prezydent Rzeczypospolitej i Jej Rząd wskazali nam co robić należy: "inni zostaną w wolnym świecie, by stać się ustami niemych". Ci "inni" — to my, żołnierze na obczyźnie, a ci "niemi" — to Polacy w Kraju.

Droga przed nami wyraźna: nie złamać się, nie poddać, ale walczyć, już teraz nie z bronią w ręku, aż u kresu tej drogi "spełni się Polska naszych żarliwych pragnień; wolna i niepodległa, Polska swobody i sprawiedliwości, Polska miłości Boga i ludzi". Tak przemówił do nas Rząd Rzeczypospolitej. W kim serce polskie bije, w kim głos obowiązku żołnierskiego nie zamarł — ten wie, jaką drogę wybrać.

Ciężka to będzie droga, kamienista, pełna przeszkód, znoju, a często i upokorzeń. Trzeba mieć w sobie wielką moc ducha i przekonania o słuszności polskiej sprawy. Zapewne ten i ów spośród nas nie będzie miał tyle odwagi, aby wejść na tę drogę i powróci już teraz do Polski, gotowy na wszystko.

Nie potępimy nikogo, kto tak postąpi, rozumiejąc jak ogromnie ciężka jest dla nas decyzja w obecnej chwili: wracać czy nie wracać? Każdy z nas ma swoje sumienie i każdy zapewne dużo przemyśli i rozważy w samym sobie, zanim postanowi, czy wraca lub zostaje. Ci co zostaną na obczyźnie, będą nadal służyć Polsce według swoich sił, tak jak robili to dotychczas. Zadaniem naszym będzie nie pozwolić światu zapomnieć o popełnionej niesprawiedliwości i o krzywdzie Polski i innych krajów.

Nie wolno nam jednak ograniczać się tylko do tego. Musimy w imię nie tylko dobra swego Kraju, ale dla dobra ludzkości wołać w imieniu wszystkich "niemych", że bierne bronienie się, pełne ustępstw, wahań i odstępstw od zasadniczych nakazów prawdziwej demokracji nie może prowadzić do niczego innego, jak tylko do ostatecznej klęski kultury europejskiej i chrześcijaństwa. Tym bardziej, że strona atakująca ma wciąż inicjatywę w swoim ręku, ma wyraźną ideę i stanowczą linię postępowania na drodze do osiągnięcia jasno określonych celów.

Musimy przekonywać Zachód przez naszą nieugiętą postawę i wolę walki, że jeżeli demokracje się nie obudzą na czas i nie zajmą mocnej i czynnej postawy, to Europa i jej wielowiekowa cywilizacja upadną ostatecznie. Byłby to koniec całej epoki.

Musimy przekonać Zachód, że nie wystarcza zasklepić się w skorupie własnych bogactw i dobrobytu oraz w dążeniu do ich pomnożenia, lecz że trzeba zająć zdecydowaną postawę w obronie i w rozwijaniu tych wielkich zasad moralnych i społecznych, które umożliwiają między innymi samo powstawanie dobrobytu jednostek i narodów.

Może się na pozór wydawać, że to jest ponad siły, że nie mamy potrzeby się troszczyć o t.zw. Zachód, ale tak nie jest. Powinniśmy zawsze pamiętać, że stanowimy z Zachodem jedną rodzinę i że nie wolno nam myśleć tylko o sobie. Powinniśmy pamiętać zawsze, że, chociaż nasz dom stoi na skraju wsi zwanej "Kultura Zachodnia", należymy z całym Zachodem do tej samej gromady, tej samej gminy i tego samego powiatu. Jeżeli naszą strzechę ogarnął pożar, to zagraża on nieuchronnie całej wsi, a jeżeli grad spadnie na gromadzkie pola, to nie ostoją się i nasze zagony.

Życie Polski od zarania historii płynęło w ogólnym nurcie życia Zachodu. Przegrana Zachodu jest naszą przegraną, nasza klęska niesie klęskę Zachodowi. I dziś, tak jak przedtem, musimy stwierdzić, że jesteśmy, tak jak byliśmy zawsze, razem z Zachodem, złączeni mocnymi więzami tak w dobrej, jak i w złej doli. Nie można bowiem zmienić dziejów blisko dziesięciu wieków. Nie można zmienić charakteru narodu. Nie można zmienić norm moralnych, w których wzrósł. Nie można zmienić oczu, którymi nauczył się patrzeć na świat.

A dzieje tych dziesięciu wieków dają nam kilka przykładów, jak to Polska, niepomna własnej krwi i ofiar, broniąc swego bezpieczeństwa i wolności, broniła jednocześnie całego Zachodu. Tak to było pod Legnicą w 13-ym wieku, gdy Polska ostatnim wysiłkiem zadała klęskę najazdowi tatarskiemu i odsunęła od Zachodu groźbę zagłady. Tak było pod Wiedniem w 17-ym wieku, gdy znów nasz oręż zadał ostateczny cios potędze muzułmańskiej wdzierającej się do serca Europy. I tak wreszcie było w dzisiejszym stuleciu, gdy nad Wisłą, u samych bram Warszawy, Polska obroniła Zachód przed najazdem.

Tak to po żołniersku pełniła Polska swą służbę na wysuniętej placówce Zachodu i chrześcijaństwa. Takie są nasze tradycje i nasze obowiązki, przekazane nam przez dziadów i pradziadów. Ta spuścizna nas zobowiązuje, tak jak zobowiązuje nas wzgląd na nasze ogólne dobro. I nie uchylimy się od spełnienia naszych obowiązków.

Tak nam dopomóż Bóg.

ANDRZEJ WART: Lotnik polski

KONNY ARTYLERZYSTA

Przegląd tygodniowy

PO POCZDAMIE

Zasłona tajemnicy, która spowijała narady poczdamskie, została uchylona. Czy całkowicie? Jak zwykle prasa snuje domysły, że istnieją również tajne porozumienia. Prez. Truman zapewnił, że ich nie ma, ale niemniej świat sądzić będzie wyniki narad wielkiej trójki nie tyle po komunikacie — zresztą obszernym — jaki został o nich ogłoszony, co po praktyce polityki mocarstw w nadchodzących miesiącach.

Nas Polaków oczywiście interesuje przede wszystkim ustęp dotyczący spraw polskich. Aczkolwiek nie można było nigdy mieć jakichkolwiek złudzeń co do tego, że decyzje iść będą po drodze wyznaczonej nieszczęsną kapitulacją jałtańską, to jednak wciąż jeszcze istnieje dla mocarstw zachodnich możliwość — i obowiązek — czynnego występowania w obronie niepodległości Polski i jej prawa do swobodnego rozstrzygania o swych sprawach wewnętrznych. Czy w tej dziedzinie Poczdam przyniósł jakąś zmianę na lepsze?

Komunikat powtarza raz jeszcze obietnicę "wolnych i nieskrępowanych" wyborów, które jednak odbyć się mają — "gdy tylko to będzie możliwe", co oczywiście jest pojęciem bardzo niejasnym. Co gorsza, za wyjątkiem jednego, żaden z warunków, wysuwanych przez opinię publiczną W. Brytanii i St. Zjednoczonych, jako niezbędne dla zapewnienia, że wybory naprawdę będą wolne i nieskrępowane, nie został uwzględniony. Nie ma mowy o jakiejkolwiek kontroli międzynarodowej. Nic nie słychać o wolności prasy, słowa i zgromadzeń, co jest rzeczą tym bardziej dziwną, że swobody te przyznano nawet Niemcom. Jedyne żądanie, które zostało uznane, to dopuszczenie na teren Polski, przed i podczas wyborów, dziennikarzy zagranicznych, którzy mają mieć pełną swobodę informowania świata o wydarzeniach w Kraju. Jest to niewątpliwie rzecz ważna, ale musimy powstrzymać się z wyrażeniem zadowolenia do chwili, gdy przekonamy się, jak ta sprawa wygląda w praktyce. W szczególności powstaje pytanie, czy każdy dziennikarz zagraniczny będzie mógł pojechać, czy też tylko taki, którego władze warszawskie zechcą wpuścić.

W każdym razie nawet najbardziej bezstronni dziennikarze zagraniczni nie mogą zapewnić wolności wyborów. Mogą tylko poinformować świat o tym, jak one będą wyglądały. Ale już dziś, obserwując n.p. wybory bułgarskie, które są kpinami z demokracji w zachodnim pojęciu, możemy sobie wyobrazić, jak bardzo dalekie będą wybory odbyte w tych warunkach, istniejących dziś w Polsce — od obiecanych wyborów "wolnych, nieskrępowanych, powszechnych i tajnych".

Komunikat porusza także zagadnienie powrotu Polaków — żołnierzy i cywilów — do Kraju, stwierdzając jednak jedynie, że wielkie mocarstwa chcą ułatwić powrót tych, którzy będą chcieli powrócić i wyrażając nadzieję, że powracający "będą mieli zapewnione wszystkie prawa osobiste i majątkowe, na tych samych zasadach co wszyscy polscy obywatele". Ale zważywszy, że najbardziej elementarne prawa osobiste nie są w kraju zapewnione, byłoby rzeczą znacznie bardziej zachęcającą, gdyby komunikat obiecał wszystkim polskim obywatelom te same prawa, z których korzystali do tej pory powracający!

DWIE MIARY W SPRAWIE GRANIC

Druga część ustępu o sprawach polskich dotyczy porozumienia w sprawie zachodniej granicy Polski. Raz jeszcze, podobnie jak na Krymie, przedstawiciele mocarstw anglosaskich przeforsowali pogląd, że sprawa granicy zachodniej powinna być odłożona do "rozstrzygnięć pokojowych". W praktyce oznacza to odłożenie decyzji na bardzo długo, może na parę lat. W innym bowiem punkcie wyraźnie powiedziane jest, że traktat pokoju będzie przedłożony do przyjęcia rządowi niemieckiemu, gdy nadający się do tego rząd powstanie, to zaś tymczasem jest w ogóle przez komunikat wykluczone.

Tak więc sprawa zostaje w zawieszeniu. Odebranie Polsce połowy jej terytorium mogło nastąpić przed rozstrzygnięciem pokojowym, natomiast ustalenie nowej granicy na zachodzie, jak widać, nie może. Należy obawiać się, że rządy mocarstw zachodnich nie zdają sobie sprawy z tego, jak fakt ten będzie wykorzystany przeciw nim w propagandzie na terenie Kraju.

Niewątpliwie terytoria po Odrę i Nissę łącznie ze Szczecinem zostały oddane pod zarząd państwa polskiego. Ale skoro ostateczna decyzja zapadnie później, administracja tych terenów będzie jeszcze bardziej utrudniona. Ci, którzy będą tam osiedlani, nie będą mieli pewności, czy jest to kres ich zbyt licznych przesiedleń . . .

W ogóle tylko rząd mający zaufanie i poparcie całego narodu mógłby rozwiązać te olbrzymie trudności, jakie nastręcza bezprzykładna próba przesunięcia całego wielkiego narodu o kilkaset kilometrów na zachód. A tu jeszcze dochodzą takie przeszkody. Nie można oprzeć się wrażeniu, że jeżeli państwo polskie w tych warunkach okaże się niezdolne do opanowania tych terenów, to ostateczna granica wyznaczona zostanie w inny sposób i że dlatego właśnie decyzja została odłożona. W każdym razie niepewność co do granicy zachodniej w sposób nieunikniony zwiększa jeszcze bardziej zależność Polski od Rosji.

Zależność ta została ponadto przypieczętowana przez postanowienia dotyczące odszkodowań. Oto bowiem dowiedzieliśmy się, że "Rosja zaspokoi roszczenia reparacyjne Polski ze swego własnego udziału w odszkodowaniach". Oznacza to, że Polska uzyska tylko takie odszkodowania, jakie Rosja zechce jej dać.

Zestawiwszy wszystkie te fakty, trudno powiedzieć, by decyzje poczdamskie otwierały lepsze perspektywy prawdziwej niepodległości Polski. Polityka "appeasement'u" trwa.

RZĄDY "WIELKIEJ PIĄTKI"

Czy z szerszego, europejskiego punktu widzenia decyzje poczdamskie są bardziej zadawalające? Niektóre spośród nich — tak. Ale jako całość nasuwają wiele zastrzeżeń.

Przede wszystkim więc dążność rządzenia światem przez wielkie mocarstwa została jeszcze wzmocniona. Widocznie rząd *Labour Party*, który z pewnością ma na ten temat inne poglądy, nie mógł jeszcze wpłynąć na charakter postanowień poczdamskich. W rezultacie postanowiono, że nie będzie nawet konferencji pokojowej, na której mniejsze państwa mogłyby odegrać jakąś, skromną choćby rolę. Stworzona została "Rada Ministrów Spraw Zagranicznych" pięciu mocarstw, która ma przygotować traktaty pokoju. Ma ona także zajmować się innymi sprawami i nic w dokumencie z Poczdamu nie wskazuje, by chodziło tu o organ przejściowy.

Okazuje się więc, że nawet niesłychane przywileje uzyskane w Organizacji Zjednoczonych Narodów, nie wystarczają wielkim mocarstwom. Stwarzają one obok Rady tej Organizacji nową Radę, w której zasiadać będą same, bez mniejszych państw. Ponadto utrzymana zostaje idea periodycznych spotkań ministrów spraw zagranicznych "wielkiej trójki", tak iż nawet Rada "wielkiej piątki" nie będzie czynnikiem decydującym. Idea hierarchii mocarstw, ongiś wysuwana przez Mussoliniego, triumfuje w pełni.

Nic w dokumencie poczdamskim nie wskazuje też na to, by strefy wpływów w Europie miały ulec likwidacji i zastąpieniu przez wspólną politykę europejską. Tylko bardzo drobne wyłomy zostały dokonane w koncepcji Europy wschodniej jako bloku pod dominacją sowiecką. Jest więc mglista zapowiedź rewizji działania t.zw. alianckich komisji kontroli w Rumunii, Bułgarii i na Węgrzech, które to komisje były do tej pory całkowicie kontrolowane przez Rosję. Jest równie mglista zapowiedź dopuszczenia do tych krajów korespondentów zagranicznych; trzy rządy "nie mają wątpliwości", że to nastąpi. Forma tej zapowiedzi jest bardzo osobliwa. Jest wreszcie mowa o tym, że dopiero wówczas państwa te będą mogły być przyjęte do Organizacji Zjedn. Narodów, gdy zawarte zostaną traktaty pokoju z ich "uznanymi rządami demokratycznymi". Chyba W. Brytania i St. Zjednoczone nie uznają komunistycznej dyktatury rumuńskiej za rząd "demokratyczny"?

Wspólnej polityki europejskiej nie ma. Czy jest przynajmniej wspólna polityka wobec Niemiec? Dokument poczdamski wskazuje, że rządy brytyjski i amerykański w znacznej mierze przyjęły rosyjski punkt widzenia na los Niemiec. Decyzjom na temat pozbawienia Niemiec ciężkiego przemysłu i przekształcenia ich w kraj rolniczy oczywiście wszyscy przyklasną. Zastrzeżenia natomiast nasuwa odrzucenia idei rozbicia Niemiec na kilka państw; Francuzi nie bez racji widzieli n.p. w stworzeniu katolickiego państwa austro-bawarskiego poważną gwarancję pokoju.

Do tej pory różnice polityki w poszczególnych strefach okupacyjnych były poważne i sprzyjały dalszemu wzmocnieniu podziału Europy na strefy wpływów. Teraz polityka ma być "w miarę jak to jest praktycznie możliwe" jednolita. Zobaczymy jak to będzie wyglądać w praktyce.

SPRAWY NIEZAŁATWIONE

Zarówno z tekstu komunikatu, jak i z luk w nim jasno wynika, że szereg zagadnień pozostaje nieuzgodnionych. W szczególności nie ma porozumienia, jak to otwarcie przyznano, co do rządu Austrii. Również przyznano, że nie osiągnięto porozumienia co do losów terytoriów włoskich. Rozpatrzono jakąś tajemniczą propozycję rosyjską co do zarządu powierniczego tych terytoriów, ale odłożono ją na później. Czyżby Rosja interesowała się także koloniami włoskimi?

Komunikat zachowuje milczenie na temat Turcji. Według doniesień amerykańskich rozmowy turecko-sowieckie zostały zerwane. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Turcja odrzuciła roszczenia terytorialne Rosji i żądania dotyczące Cieśnin. Milczenie komunikatu wskazywałoby, że W. Brytania i St. Zjednoczone poparły jej stanowisko i porozumienia nie osiągnięto. Sowiety napewno jednak nie zrezygnują ze swych żądań. Kryzys będzie się więc zapewne zaostrzał.

Ani słowa też w komunikacie o sprawie Persji. Rząd perski domagał się obiecanego wycofania wojsk brytyjskich i sowieckich z terytorium perskiego. Brytyjczycy zgadzają się wycofać swe wojska, o ile Rosjanie uczynią to samo. Moskwa milczy, ale jak wynika z doskonałych reportaży p. Clifforda w "*Daily Mail*" nie zamierza wycofać wojsk z Persji, dopóki nie dojdzie do władzy "prawdziwie demokratyczny" rząd — czytaj: komuniści. I tu nie ma więc porozumienia.

Ogólny obraz jaki wyłania się z komunikatu poczdamskiego jest więc następujący: Wielkie mocarstwa pragną nadal rządzić światem po dyktatorsku. Demokracje Zachodu dla utrzymania współpracy z Rosją gotowe są w dalszym ciągu czynić duże ustępstwa na rzecz Sowietów, w szczególności jeśli chodzi o Niemcy i Polskę, natomiast usztywniają się nieco jeśli chodzi o Bałkany a zwłaszcza Bliski i Środkowy Wschód. Ale i tam możliwe są dalsze ustępstwa.

A CO Z DALEKIM WSCHODEM?

Ze wszystkich przemilczeń komunikatu poczdamskiego Amerykę najbardziej zdziwił brak jakiejkolwiek wzmianki o Japonii. Jest o niej mowa tylko w związku z Włochami, którym zapisuje się na dobro wypowiedzenie przez nich wojny Japończykom. Jest to zresztą jeden z osobliwych paradoksów chwili, że Sowiety chwalą Włochy za wojowanie /w teorii/ z Japonią, choć same pozostają neutralne . . .

Oczywiście z milczenia komunikatu na ten temat nie można wyciągać zbyt daleko idących wniosków co do udziału Rosji w wojnie na Dalekim Wschodzie. Po prostu sprawa ta pozostaje otoczona tajemnicą. W ogóle zresztą tajemnic na Dalekim Wschodzie jest coraz więcej. Bardzo tajemnicze były ostatnie zmiany w rządzie chińskim, i zrzeczenie się przez premiera Soonga — świeżo po powrocie z Moskwy, gdzie odbył szereg rozmów ze Stalinem — teki spraw zagranicznych. Na tle napięcia pomiędzy Sowietami a Chinami i wzmagającego się niebezpieczeństwa wojny domowej w Chinach sprawa ta wygląda nader intrygująco.

Jedno tylko jest pewne. Inwazja Japonii zbliża się szybko. Gen. MacArthur już objął dowództwo "inwazyjnych baz" na wyspach Ryoku. Flota japońska została już ostatecznie zdruzgotana. Było by rzeczą logiczną, gdyby Japończycy przyśpieszyli kapitulację.

Londyn, 5 sierpnia 1945

ALEKSANDER BORAY

Wojna na morzu

PRZYSZŁOŚĆ MARYNARKI

Wielu pisarzy morskich zastanawia się już nad przyszłością marynarki. Czy wprowadzenie szeregu nowych broni: dalokierowanych latających bomb i rakiet, wspaniały rozwój lotnictwa, przejście na "międzynarodowe siły zbrojne" i t.p. nie stworzy warunków, w których marynarka stanie się w mniejszej lub większej mierze przeżytkiem.

Odpowiedź na to znajdujemy w popularnym piśmie "*The Navy*". Brzmi ona jak następuje:

"Międzynarodowe siły zbrojne są niedoścignionym ideałem. Lotnictwo będzie półśrodkiem, bo po pierwsze nie jest w stanie działać prewentywnie /uprzedzać wypadki/, podczas gdy wysłanie w porę okrętu wojennego ma zawsze skutek polityczny. Po drugie, mimo wzrostu celności bombardowań powietrznych, cierpieć będzie zawsze niewinna ludność cywilna i trudno przypuszczać, aby nakazano bombardowanie tylko dlatego, że gdzieś ktoś szykuje wojnę. Po trzecie — wszystkie trzy części sił zbrojnych będą zawsze potrzebne dla wszelkich skutecznych działań. Wystarczy czasem bezkrwawa blokada morska, albo zakotwiczenie eskadry pod brzegami szykującego wojnę kraju, aby wywołać efekt hamujący. Lotnictwo wówczas przyda się również, ale właśnie we współpracy z marynarką. Poza tym tak długo jak statki handlowe będą pływały po morzach, przewożąc masowe transporty ludzi, sprzętu, zaopatrzenia, wszelkich zasobów, produktów i towarów — marynarka wojenna będzie potrzebna dla ich osłony. Jeżeli nawet tę osłonę wezmą na siebie lotniskowce, to i tak trzeba będzie z kolei innych okrętów towarzyszących i osłonowych, aby zabezpieczyć i wspomagać lotnictwo".

Jak wyglądać będzie marynarka przyszłości — to inna sprawa. Ale już dziś takie fakty jak masowe zestrzeliwanie samobójczych i niesamobójczych samolotów japońskich przez okręty Ameryki i W. Brytanii świadczą, że okręt potrafi się bronić. Nowoczesne okręty podwodne naprawdę mało sobie robią z lotnictwa. No i lotnictwo osłony floty też będzie miało dużo do powiedzenia.

RESZTKI FLOTY NIEMIECKIEJ

Z chwilą zakończenia wojny znaleziono w Kilonii uszkodzone krążowniki niemieckie "Admiral Hipper" /10.000 ton/ i "Emden" /6.000 ton/, "Prinz Eugen" /10,000 ton/ i "Nürnberg" /6.000 ton/ w stanie bojowym przychwycono w Kopenhadze. "Köln" /6.000/ zatopiono na płytkiej wodzie w Wilhelmshaven. "Leipzig" /6.000 ton/ — uszkodzony był w duńskim porcie Aabenraa. Stare pancerniki — dobrze nam znane — "Schlesien" i "Schleswig-Holstein" /po 13.500 ton/ miały los podobny: pierwszy zatopiony został koło Swinoujścia, drugi poważnie uszkodzony jest w Gdyni. Tamże znajdował się ciężko uszkodzony krążownik liniowy "Gneisenau" /26.000 ton/. Pancernik "Lützow" /ex "Deutschland" — 13.000 ton/ leży na dnie morza wraz z siostrzanym "Admiral Scheer". Jedynie kontrtorpedowce, okręty podwodne i ścigacze pozostały w poważniejszej ilości jako łup wojenny.

NA PACYFIKU

Bombardowanie metropolii japońskiej z morza i powietrza trwa już z małymi przerwami ponad miesiąc. Równocześnie flota brytyjska zbliża się do Singapore, trałując cieśniny indonezyjskie z min. Cyfry strat japońskich, podawane codziennie, są tak astronomiczne, że po prostu lękamy się je powtórzyć. Nie ma dnia, aby nie było mowy o kilkudziesięciu /często kilkuset/ zniszczonych samolotach, a równocześnie o dziesiątkach zatopionych okrętów, wśród których mają się już znajdować wielkie pancerniki "Haruna" i "Hiyuga" po 30.000 ton.

Amerykanie wprowadzili do akcji pancerniki liniowe "Guam", "Hawaii" i "Alaska" po 27.000 ton. Mają one szybkość ponad 30 węzłów i uzbrojenie z 9 dział 305 m/m, a są odpowiedzią na japońskie krążowniki 15.000 ton z sześcioma działami tegoż kalibru.

W akcji-morsko-lotniczej na port w Kure, oprócz pancernika "Haruna", zniszczono krążowniki "Aoba" i "Oyodo" oraz uszkodzono pancernik "Ise", prócz tego kilka innych okrętów uległo ciężkim uszkodzeniom. Wiceminister marynarki U.S.A. oświadczył, ze flota japońska jest w stadium likwidacji.

Bombardowanie brzegów Siamu jest wstępem do nowych wielkich operacji amfibijnych /lądowo-wodnych/.

Na zakończenie cytat z "*Daily Express*": "Skoro flota japońska przestanie istnieć — wyspy japońskie nie będą w stanie jej przeżyć. Jeśli flota brytyjska zostanie zaniedbana — W. Brytanię może spotkać los podobny".

DARDANELE

Popłoch w Konstantynopolu — tak przynajmniej podaje prasa francuska — wywołało przybycie sześciu sowieckich okrętów wojennych, które zakotwiczyły pod miastem. Okazało się jednak, że to 3 kontrtorpedowce i 3 torpedowce, które rząd włoski przekazał na podstawie jakiejś umowy Związkowi Sowieckiemu. Okręty te udają się na Morze Czarne.

Straty rosyjskiej floty czarnomorskiej nie zostały opublikowane. Są one niewątpliwie poważne. Ale z ostatnich przemówień Stalina wynika, że Związek Sowiecki przystępuje do rozbudowy swych czterech flot. Powiększenie bałtyckiej i czarnomorskiej będzie dowodem, że przewódca Związku Sowieckiego również nie wierzy w "zmierzch marynarek" i to nawet na t.zw. "morzach zamkniętych", które dyplomacja lub strategia zawsze mogą otworzyć.

Przecież skromna marynarka polska też rzekomo miała być przeznaczona tylko dla Bałtyku, a jednak okazało się później, że działała na "siedmiu morzach".

FLOTA BRYTYJSKA NA PACYFIKU

Pomimo pewnych narzekań amerykańskich, że flota brytyjska nie bierze należytego udziału w wojnie z Japonią, udział tej floty jest bardzo poważny. W tej chwili około 200 okrętów, w najbliższej przyszłości 400 okrętów i 200.000 ludzi. Prawie połowę tej floty stanowić będą lotniskowce i okręty towarzyszące związane z działaniami lotnictwa. Proponowane są raidy lotnictwa morskiego i przybrzeżnego do rozmiarów 7000 ton bomb w jednym rzucie. W ciągu pierwszych 7 miesięcy tego roku brytyjsko-amerykańskie lotnictwo morskie zniszczyło 2,500,000 ton japońskich okrętów i statków. Ale aby móc to lotnictwo uruchonić trzeba było przede wszystkim mieć marynarkę!

W czasie pobytu floty brytyjskiej w jednym z portów Australii, dowódca jej, admirał Fraser, zezwolił jednemu z marynarzy, z zawodu farmerowi, zejść na ląd, aby nie zapomniał . . . jak się doi krowy. Po wydojeniu, bezpośredni przełożony marynarza złożył odpowiedni meldunek admirałowi, kończąc słowami: "marynarz Reid doskonale wydoił krowę i był bardzo zadowolony; zdaje się, że i krowa jest zadowolona". Admirał Fraser dodał na marginesie: Dziękuję. Dowódca floty — też".

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

O.R.P. "Piorun" był w Norwegii, O.R.P. "Garland" w Norwegii i Danii. Inne okręty odbywają pływania wraz z brytyjską flotą macierzystą, lub wypełniają specjalne zadania na Morzu Północnym.

Grupa ścigaczy liczy obecnie 6 jednostek. Każdy ścigacz posiada działko, wyrzutnie torpedowe i broń maszynową. Grupa wsławiła się w czasie wojny działaniami na Ławicach Flandrii, u brzegów Francji i południowej Anglii.

Podobno O.R.P. "Gryf" /stawiacz min, zbudowany w roku 1937/ był przez Niemców podniesiony z dna morskiego i wcielony do floty niemieckiej. Co się z nim dalej stało — niewiadomo.

Można dziś ujawnić, że O.R.P. "Wilia" — pod nazwą "Modlin" — uczestniczył w inwazji Francji i został użyty jako "blockship" /okręt-falochron/ u brzegów Normandii.

BOMBA ATOMOWA

Już po napisaniu tej kroniki ujawniono wprowadzenie do działań wojennych bomby atomowej. Zmieniło wiele w technice, taktyce, a pewno i w . . . polityce. Natomiast żelazne zasady strategii pozostaną nienaruszone.

Każda nowa broń rodzi tarczę. Daje też poboczne możliwości rozwoju innym broniom. Okręt o napędzie "atomowym" zyska szereg zalet taktycznych, a wyzbędzie się licznych wad — choćby poważnego balastu w postaci zbiorników z ropa. Wyrzutnie rakietowe, ustawione na pokładzie, wysyłać będą "atomowe granaty" z precyzją większą może od artylerii. No i z większym skutkiem.

Przede wszystkim zyska lotnictwo. Ale i tu będzie ono mogło raczej burzyć niż zdobywać czy zapobiegać. Bo cóż komu przyjdzie z kraju — pustyni, zdobytego po takim bombardowaniu?

JULIAN GINSBERT

Ukazał się nowy tom biblioteki "Wczoraj i Dziś"

p.t. ŚWIĘTY PŁOMIEŃ

W tomie: — **Kazimierz Wierzyński:** Duch. — **Marian Hemar:** Kamień. — **Tymon Terlecki:** Do emigracji polskiej 1945 roku. — **Stanisław Stroński:** O byt, o duszę, o twórczość. — **Zygmunt Nowakowski:** Der Drang nach Westen. — **Maria Danilewiczowa:** Człowiek z kurzu. — **Jan Papuga:** Pole. — **Stefania Zahorska:** Wyjątki z "Historii Trójimperium", wydanej w r. 2445. — **Henryk Tennenbaum:** Nawrót ekonomii do humanistyki. — **Karol Irzykowski:** O "Palubie". — Poezja proletariacka. — **Adolf Nowaczyński:** Zakończenie "Smoczego gniazda". — Les délices de la campagne — Młody Wyspiański — Kawiarnia — Z "Meandrów". — **Juliusz Kaden-Bandrowski:** Mickiewicz wraca do kraju. — Sztuka fortepianowa Chopina — Piłsudski — Zakończenie "Tadeusza". .

Okładka **Wojciecha Jastrzębowskiego.**

100 stron druku — **Cena 4s. 6d.** — 11 ilustracji

Nakładem : J. ROLLS BOOK CO., LTD.

24, St. George Street, Hanover Square, London, W.I

Z notatek "Häftlinga"

I.

16 *kwietnia* 1943. *Warszawa.*

Wpadam z "bibułą". W "bezpiecznym" mieszkaniu znajomych zastaję Gestapo. Oprócz mnie aresztują 8 osób. Między innymi moją matkę. Przewożą nas na Pawiak.

12 *maja. Warszawa-Pawiak.*

Wywołują nas na transport. Każą zostawić rzeczy dla rodziny i żywność. W celi transportowej wspólna modlitwa. Nie śpimy. Wielki nalot sowiecki na Warszawę. Może coś się stanie? Może nie zdążą wywieźć?

13 *maja. Warszawa-Oświęcim.*

Budzą o 4-ej. Kawy nie dali. Na placu więziennym zastajemy mężczyzn. Stoją czwórkami, boso. Opodal, też czwórkami ustawione buty. /Transport w naszej gwarze będzie się nazywał "bosym"/. Nas jest 119, mężczyzn około 500. Ładują nas na samochody. Kierunek — dworzec Zachodni.

Wagony "bydlęce" z zabitymi oknami mieszczą nas po 50. Na peronie jakiś głos mówi: *"Nach Auschwitz"*. Śpiewamy: "Jeszcze Polska nie zginęła", "Rotę", "Boże coś Polskę". Jedziemy. Przez cały dzień nie dają nam wody ani jedzenia, nie otwierają drzwi. W kącie wagonu załatwiamy potrzeby fizjologiczne. Powietrze gęste. Kobiety mdleją. Śpiewamy dalej. W Częstochowie na klęczkach odmawiamy Litanię.

W Oświęcimiu piątkami prowadzą nas od bocznicy przez pole do obozu. Łuna światła elektrycznego nad drutami. W bramie naprzeciw nas wychodzą *Aufseherki* — kobiety w mundurach S.S.

"Przejściówka" — barak ogromny, pusty. W kącie trochę desek, pośrodku piecyk żelazny, w końcu kilka ohydnych cuchnących *"Kübli"*. Przy "kiblach" tłok. Baba przy piecu ma na rękawie białą łatkę z numerem i czarnym trójkątem. Potem dowiadujemy się, że to więźniarka Niemka, skazana za prostytucję. Wiedźma obsypuje nas gradem niemieckich wyzwisk.

My chcemy spać. Sięgamy po deski na posłanie. Ogłusza mnie mocny cios w głowę. Nade mną stoi Niemka ze wzniesioną deską: *Verboten!* — to słowo rozumiem. Kładziemy się na kamieniach. Bardzo zimno.

14 *maja. Oświęcim.*

Rejestracja. Zapisują nas więźniarki, pracownice t.zw. *"Politische Abteilung"*. Pierwsze osoby, jakie się tu do nas odezwały po ludzku. Tatuują nam numer porządkowy na przedramieniu. Stajemy się *Häftlingami*.

Wieczorem odwszenie w *Saunie* /kąpielisko/. Odbierają nam wszystkie rzeczy do zwrotu przy zwolnieniu. Teraz ścinają włosy. Do gołej skóry. *"Loos, loos!"* Wszyscy krzyczą, wymachują kijami. Niewiadomo co gorsze — bicie czy krzyk. Między gołymi kobietami przechadza się SS-mann. *"Loos, loos!"* Przebiegamy przez "parówkę", w której wcale nie ma pary. Pod zimnym tuszem nie zdążyłam się namydlić.

W następnej sali rzucają nam ubrania. *"Loos, loos!"* Pasiaste majtki b. długie, pasiastą sukienkę b. krótką. Zapstrzoną koszulę. Olbrzymie drewniaki. Więźniarka wydająca rzeczy, wali po głowach, jak cepem. Przyszywają numer do rękawa: czerwony "winkiel" z literą P oznacza Polkę, polityczną.

Stoimy teraz piątkami długie godziny. Przed nami tłuste, jaskrawo wymalowane kobiety śpiewają wulgarnie i tańczą. Czy to też więźniarki? Nic nie rozumiemy.

Późną nocą przeprowadzają nas na blok. W ciemności wpadam na "kibel". Tłum naciska na mnie, ktoś popycha mnie kolanem do góry. Już! Wciągam się na coś, przypominające półkę i pełznę dalej, jak w głąb szuflady. Leżę. Rzadko rozstawione deski wrzynają się w ciało. Z dołu okropny, syfilitycznie zachrypnięty głos wykrzykuje w ciemności: "Przeklęte Polki, wyzdychacie w Auschwitzu!"

15 *maja* 1943 *r.*

Pierwszy apel trwa dwie godziny. Przed nami szeregi kobiet w kombinezonach khaki. Plecy poznaczone ogromnym czerwonym krzyżem. Pod jaskrawymi chustkami przepiękne oczy: żydówki greckie z Salonik. Jest ich na bloku przeszło 700. Razem z nami i Rosjankami stan bloku wynosi 1000.

Po apelu przed blok wpadają z krzykiem rudowłose, złotowłose i białowłose Niemki z opaskami na ramionach i kijami w rękach. Popychają, pędzą. Rozdzielają mnie z matką. Marsz piątkami. Przydzielają narzędzia pracy: ciężkie łopaty i kilofy. *"Anweiserka"* z czerwoną "bindą" na prawym ramieniu, niefrasobliwie wymachuje laseczką. Raz po raz bije kogoś od niechcenia, ale dotkliwie.

Przechodzimy przez bramę. *"Links, links und links!"*. Gruby *"Arbeitsdienstführer"* bacznie przegląda szeregi. Jedna z nas zgubiła drewniak i zaplątała się do innej piątki. *"Arbeitsdienstführer"* osobiście ćwiczy ją skórzanym pejczem.

Pracujemy tuż za drutami przy niwelacji pola. Rozbija się kilofem twardą glinę. Siąść nie wolno, stać nie wolno. Załatwiamy się nad rowkiem, tuż obok pilnującego nas *"Postena"*. To jedyny sposób wypoczynku tak przykucnąć na chwilę.

Obiad w bloku: ćwierć litra zupy z suszonej brukwi, zaprawionej palącym, ohydnym proszkiem "avo", dwa podgniłe kartofle w łupinach. Popołudniu znów praca do 6-tej.

Apel. Szukam wzrokiem matki. Kogoś przyniesiono z pola, ktoś zemdlał. Pod drzwiami trup. Niepokoję się coraz bardziej. Matka ciężko chora na serce. Jest straszny upał. Apel ciągnie się w nieskończoność. Wreszcie koniec. Znajduję matkę. Pracowała w odległości 8 km. od obozu. Kopała rowy.

W drzwiach bloku wydają kawałek chleba, mający być 1/5 bochenka i kawałeczek sera. Kawy nie ma. Wody nie ma.

Wdrapujemy się na koje. Matka ma atak sercowy.

Maj 1943. *Oświęcim.*

Kwarantanna. W bloku "kible" i "tragi", wypełnione kałem. Wszyscy mają *"durchfall"*. To nie jest zwykła biegunka, tego nie można zatrzymać. Kał cieknie po nogach. Tłoczymy się przy "kiblach". Przy ubikacji czuwa Marusia, nienormalna Ukrainka, zbiegła z robót w Niemczech. Marusia tłucze nas po głowach i obnażonych tyłach brudną cuchnącą miotłą. Nad tą kloaką, na kojach zajadamy swoje porcje chleba z margaryną. Smakuje wspaniale.

"Koje" wznoszą się piętrami wzdłuż całego bloku. Na "parterze" śpi się na cegłach. Cienka warstwa przegniłego siennika nie chroni przed wilgocią. Pod ścianą kilka głębokich nor szczurzych. Od czasu do czasu przychodzą mężczyźni i zalewają dziury wodą. Wtedy przez jakiś czas można spokojnie kłaść swoją porcję chleba pod głowę.

Na "pierwszym" piętrze "koja" przypomina otwartą szufladę. Siąść nie można, za nisko. Koja górna jest uprzywilejowana i dlatego tam mieszka arystokracja bloku — "sztubowe".

"Sztubowe" śpią po 2 — 3 na koi, podczas gdy my tłoczymy się po 8. Mają czyste koce, w których rzadko znajdują wszy. Noszą czyste, kolorowe sukienki. Myją się co dzień, gdy my już od dwóch tygodni nie widziałyśmy wody i na "mały dekolt" myjemy się kawą, lub ziółkami do picia. Na koi sztubowej stoi wiadro pełne marmelady i dużo kawałków chleba. To ich "organizacja" — znamy już tutejsze znaczenie tego słowa. Wiemy, że to kromki wycięte ze środka naszych bochenków, ale nie protestujemy.

"Sztubowe" noszą grube kije, którymi biją nas przy każdej okazji: budząc, wypędzając na apel, ustawiając po chleb. Nam ich bić nie wolno. Mogły byśmy coprawda iść z tym "na bramę"! Ale czy pójdziemy do Niemców szukać sprawiedliwości? Przecież to oni właśnie rozmyślnie i celowo, oddali władzę w ręce wszelkiej lagrowej szumowinie. Nasze "sztubowe" to różnych nacji prostytutki lub przemytniczki wojenne, ujęte przypadkowo podczas łapanki. Nasza "blokowa" i jej pomocnice, to żydówki słowackie z pierwszych transportów, które uniknęły śmierci w krematorium za cenę całkowitego zaprzedania się Niemcom.

"Blokowa Rosa" jest młodą, przystojną kobietą o mściwych, zaciśniętych ustach. Przechadza się w kloszowej, b. krótkiej sukience przed szeregami pasiaków i kombinezonów. Zoczyła jakąś zwiędłą inteligencką twarz, okulary. /"Blokowa" nie lubi okularów tak, jak nie lubi ich "szef" w polu i "capo"/. Przygląda się chwilę — znalazła. Z pod sukienki lagrowej widać rąbek koca. Kobiecina marznie na apelach, więc sporządziła sobie t.zw. "ornat" z koca z dziurą na głowę. Sabotaż! Kij spada na plecy delikwentki, ręce "blokowej" szarpią, zdzierają suknię, za chwilę okulary leżą na ziemi, ich właścicielka też. Nóżka w cienkiej pończosze i eleganckim pantoflu kopie, kopie, kopie!

Za parę dni na bloku skandal. Rosę i jej siostry, poznane przez nas pierwszego dnia w *Saunie* biorą na rozstrzelanie. Znaleziono u nich złoto. Złoto, zrabowane przez Niemców *"Häftlingom"*.

Do małego pokoiku, wydzielonego z bloku, pokoiku z firaneczkami i łóżkiem, wprowadza się nowa "blokowa". — Zuzi. Mówią o niej, że nie kradnie i mniej bije. Ano, zobaczymy.

Czerwiec 1943 *r.*

Kwarantanna skończona, wolno nam poruszać się swobodnie po lagrze. W praktyce ogranicza się to do indywidualnego wychodzenia do ubikacji i do *"waschraum"* /barak, w którym jest kran z wodą i parę pryszniców/. Ubikacja mieści się w jednym z ostatnich baraków. Jest to wielka kadź, wypełniona prawie po brzegi kałem. Żeby się załatwić trzeba najpierw stoczyć walkę z "torwachą", broniącą wejścia tęgim kijem, potem walić łokciami na prawo i lewo, przepychając się przez tłum rozkrzyczanych, jęczących i płaczących, przeważnie chorych kobiet, wreszcie dokonać wyczynu gimnastycznego, jakim jest przykucnięcie bez utraty równowagi na wąskim ocembrowaniu kloaki. Siąść normalnie niemożliwe, wszystko wokół zalane i zabrudzone.

Walka o wodę odbywa się jak wyżej.

W topografii lagru nie trudno się zorientować. Środkiem obozu biegnie *lagerstrasse*, stale regulowana i ozdabiana darniną. W potrójnym szeregu pięć rzędów baraków. Po prawej stronie *lagerstrasse* — żółte, murowane, z kojami. Po lewej — drewniane stajnie przenośne. Te są lepsze, z łóżkami. Mieszkają w nich Niemki i mieści się rewir.

Za kompleksem baraków rozciąga się "wiza" /Nie sposób słowa tego przetłumaczyć na "łąka"/. Jest to naga przestrzeń gliniastej ziemi z cuchnącą kałużą pośrodku, zapełniona tłumem obszarpanych kobiet, bijących wszy, kłócących się, lub jęczących płaczliwie. Głęboki rów i naelektryzowane druty dzielą "wizę" od prawdziwej, soczyście zielonej łąki, po której brodzą bociany.

W Birkenau często pada deszcz. Lager tonie w błocie. Takiego błota jak w Birkenau nie ma na całym świecie. Zalega wszystkie drogi, pudowym ciężarem wisi u butów, baraki oblepia aż po dachy, grubą warstwą leży na podłodze "sztub"; mamy je na kojach, na sukniach, na twarzach, w jedzeniu. Ślizgamy się, przewracamy, topimy w błocie. Wielkie kałuże przed blokami nie wysychają nigdy. Komary brzęczą po nocach. Kobiety dygocą w atakach malarii.

O świcie "rukują" komanda. Piątka za piątką, kolumna za kolumną. Setki, tysiące kobiet. Prowadzi SK /kolumna karna/. Równy krok, bose nogi. Krzyk, policzki, razy. *"Links, links"*.

Pod ścianami baraków jak pod "ścianą płaczu" słaniają się postacie nędzarzy, osłonionych burnusami koców. To "muzułmany", wykończone przez lagier ludzkie resztki.

Chodzę do komanda 19. Okopujemy buraki. Rzędy — zwiemy je tu "raje" — rysują się najpierw słabiutko nikłą zielenią sadzonki, potem coraz wyraźniej biegną przed nami, wreszcie rozrastają się i wyłamują z szeregów wielkimi liśćmi naci. Gdy wieczorem zamykam oczy do snu widzę pod powiekami, albo te "raje" biegnące do horyzontu, albo buty ciężkie, wielkie, rozdeptane, ciągnięte z trudem przez okaleczone nogi. Buty, stąpające przede mną w powrotnej drodze z pola.

Komando nie jest złe. Szef SS-mann bije rzadko. Chyba, że ktoś weźmie niewłaściwą motykę do pracy. Za to daje kilka kopniaków w brzuch. "Capo", prostytutka niemiecka i "anwajzerki" — niemieckie złodziejki, trochę częściej, tłuką nas po twarzach, ale nie pędzą zbyt do roboty. Stosujemy tempo "żółwia". Gdy się odwrócą, stajemy wsparte na motyce.

Boimy się tylko "białoszyjki". Przyjeżdża od czasu do czasu na koniu, sztywno wyprostowany, z karkiem w białym bandażu. Za źle wyrwany burak przygina głowę do ziemi, wali motyką, kopie. Dobrze mówi po polsku. Niemiec z Poznańskiego.

Jestem głodna. Zupy są teraz z pokrzywy, pełne zielonych łodyg i palące. Mówią, że "avo" wpływa na to, że wszystkie straciłyśmy menstruację.

Porcję chleba zjadamy łapczywie na apelu wieczornym. Matka często przechowuje dla mnie kawałek na rano. Mówi się i myśli tylko o jedzeniu. Przypominamy sobie różne kulinarne przepisy. Wracając z pola marzę: weranda ocieniona winem, na stole truskawki ze śmietaną.

Matka pracuje na lagrze. Praca lżejsza, niż w polu: rozbija się żwir łopatą. Matkę bolą nerki. Nie lubi o tym mówić, ale w czasie obiadu kładzie się na fartuchu na ziemi. Ziemię czuć moczem /kobiety załatwiają się na miejscu podczas apelu/, ale na blok wejść nie wolno. Z sercem matki coraz gorzej. Chciałam, żeby poszła do szpitala, ale "blokowa", wygnała ją do komanda i zbiła po twarzy.

Mamy wszy. Bijemy je w niedzielę na "wizie". Kiedyindziej brak czasu. /60 — 100 wszy to połów jednego "obszukania"/. Nie śpiąc od ukłuć i swędzeń, bo pcheł też są miliony, oglądamy lagier w nocy.

Z naszego okna widać, jak ładują trupy. Wynoszą je z *"Leichenhausu"* — drewnianej, niskiej budy. Mężczyźni — "häftlindzy" chwytają nagie ciała zmarłych kobiet za ręce i nogi, chwilę huśtają je w powietrzu i rzucają na samochód, na stos innych trupów. Głowy, ręce, nogi — wszystko splątane, zwalone bezładnie. Czasem jakaś ręka sztywno sterczy ku górze gestem pełnym zgrozy, wyrzutu czy prośby.

Lipiec 1943.

Generalne odwszenie. Dzień jest pochmurny i chłodny. Na "lagerstrasse" mężczyźni "häftlindzy" ustawiają wielkie kadzie wypełnione roztworem kwasu pruskiego. Zupełnie nago /ubranie rzuciłyśmy na ręce mężczyzn, którzy zanurzają je w kadziach/ defilujemy przez cały lagier wzdłuż szpaleru SS-mannów do *"Saunny"*. *Loos, loos!*

Nie wolno się zatrzymać. Przebiegamy przez łaźnię pełną pary. Przebiegamy pod zimnymi prysznicami. Razy kijów na mokrych plecach bolą okropnie. Znów jesteśmy na placu przed łaźnią. Zanurzam głowę w jakimś okropnym płynie. Przede mną obsypana wrzodami, świerzbowata cyganka staje rozkraczona do "dezynfekcji" kroku i pach. Ta sama brudna gąbka, którą odkażano cygankę dotyka za chwilę mojego ciała.

Teraz stoimy długie godziny na *lagerstrasse*. Potem odbieramy od mężczyzn mokre toboły. Niektóre wstydliwe okrywają się nimi — te padają zemdlone. Jest kilkadziesiąt wypadków ciężkiego zatrucia. 10 kobiet umiera tej nocy. Ubrania schną powoli, porozkładane na dachach bloku. Apel wieczorny i poranny stoimy nago. Gdzieś koło popołudnia wkładamy suknie. Wszy łażą po nich gęsto — otępiałe, niemrawe, ale żywe.

KRYSTYNA KOBYŁECKA

WIERSZE

★ ★ ★

Śpimy snem gorączkowym, na drewnianych pryczach,
aż nagle pośród głębokiej nocy zimowej
zbudził nas gwizd S-Mana, jak klaśnięcie biczem,
na nowy dzień niewolnic w Ogrójcu Krzyżowym.

Stoimy na apelu, gwiazdy są świadkami,
okrucieństwa "Aufseherek", naszej bezbronności,
więc Bogu się skarżymy, że już sił nie mamy,
że prosimy o mannę najsłodszej wolności.

Jest wreszcie po apelu, więc w tę noc wsiąkamy,
w różne nory wilgotne, włazimy jak krety,
W jednej wszawej koszuli, jaką posiadamy
naszej pięknej, syreniej Warszawy — kobiety.

A w norach ziemia twardym mrozem skawalona,
a kilof taki ciężki . . . a dzień taki długi . . .
więc teraz chcemy tylko jak najprędzej skonać,
bodaj śmierci zasłoną dzień oddzielić drugi.

Sukienka — jaka nędzna przed mrozem osłona!
Papierem okręcamy ciało jak szkielety,
jaka nędzna z papieru przed mrozem obrona,
jakże wiele z nas Polski nie ujrzy — niestety.

Płoną lampy na drzewach wśród zimowej nocy,
o dniu, dniu nieskończony, o bezgranic trudzie,
kij jeszcze ciągle świszcze, pot zalewa oczy.
Która jeszcze z was powie, że Niemcy to ludzie? . . .

I znów sen gorączkowy na drewnianych pryczach,
aż nagle pośród nocy głębokiej zimowej
zbudził nas gwizd S-Mana, jak klaśnięcie biczem,
na nowy dzień niewolnic w Ogrójcu Krzyżowym.

IRENA UZAKIEWICZ

W MAUTHAUSEN

Dzwon. Apel.
Ostrzyżone głowy,
W szeregach, setkami,
Stoją jak posągi . . .
Między szeregami
Bachmeyer ze świtą
Chodzą i biją po twarzach pejczami . . .

Boże, za czyje grzechy
Myśmy za życia na piekło skazani?

Wołają numery. Stają RKM-y . . .
Głos salwy skrwawione ciała
Na ziemi położył
I wozu z krematorium skrzypią koła . . .

Boże, gdybyś teraz drzwi niebios
Piorunem roztworzył
I zesłał do nas Mściciela-Archanioła . . .

Znowu numery. Staje szubienica . . .
Między blokami długa ulica
Dudni pod krokami . . .

Boże, czy Twoje dłonie karzące
Ześlą dni zemsty
Za te numery na sznurach wiszące?

Znów dzwon! Apel!
W szeregach, setkami,
Ostrzyżone głowy . . .

Boże, tu czas stoi!
To czas czterowymiarowy!

Mauthausen-Linz wrzesień 1944

STEFAN SZONERT

"Conrad" w Oslo

Korespondencja własna "Polski Walczącej"

Postój "Conrada" w Oslo był dla nas jedną wielką przyjemnością. Złożyło się na to mnóstwo przyczyn, a między innymi i to, że Norwegowie nie znali nas, co budziło u miejscowej ludności całkiem zrozumiałe zainteresowanie i chęć nawiązania kontaktu z Polakami. My zaś byliśmy kierowani podobnymi uczuciami.

ZACZĘŁO SIĘ ZWYKŁA RUTYNĄ POSTOJU W PORCIE

Miasto wypielęgnowane w naszych myślach i oczekiwaniach, ucieczka od szarzyzny alarmów manewrowych i postojów w Scapa, ucieczka od krótkich rejsów — wzdłuż wybrzeży Anglii, ukazało się stęsknionym oczom w całej krasie słońca, wschodzącego nad zalesionymi wzgórzami. Fiordy drzemały leniwie. "Conrad" szedł na zmniejszonych obrotach maszyn, rozsuwając znieruchomiałe masy zgęszczonej zda się w porannym spokoju wody. Dobijaliśmy do mola.

Normalne porządki poranne, mycie pokładu, czyszczenie okrętu, porządkowanie urządzeń pokładowych — wszystko to zajęło nam niewiele czasu. Norwedzy, których przywieźliśmy z Anglii, wychodzili z zajmowanych pomieszczeń, witając się serdecznie z rodakami, skupionymi dookoła okrętu. Wkrótce samochody zabrały uszczęśliwionych pasażerów, z których niejeden nie był w kraju od czasu inwazji Norwegii.

Zostaliśmy sami zajęci czynnościami codziennego życia okrętowego, które bez względu na szerokość czy długość geograficzną, kraj, port czy pogodę, jest zawsze podobne do siebie: "Druga wachta portowa wstąpić! Pierwsza wachta — zbiórka na śródokręciu!". Monotonia zda się przyczłapała za nami z Rosyth do Oslo.

NAJAZD CIEKAWYCH I GŁODNYCH

Lecz to było pozorne. Po Oslo rozeszła się wieść, że "Conrad" przybył do portu. Początkowo małe grupki ciekawych Norwegów, potem coraz większe, wreszcie tłumy ludzi zaczęły przychodzić pod okręt i — ku wielkiej rozpaczy oficerów wachtowych i wartowników na molo, usiłujących powstrzymać amatorów zwiedzania okrętu — wciskać się na pokład, ogarniać wszystko i wszystkich. Gremialne prośby ludności, poparte prośbami władz norweskich i kierowników szkół sprawiły to, że dowódca zgodził się na udostępnienie okrętu w pewnych, wyznaczonych godzinach: od 17.30 do 20.00-ej.

To posłużyło jako pretekst dla wszystkich innych. Okręt zalała fala dzieci. Wszędzie ich było pełno i nie można się było przed nimi uchronić. Nie samo jednak zainteresowanie okrętem było powodem przybycia tak wielkiej ilości zwiedzających. Śmiało mogę powiedzieć, że więcej ich interesowała piekarnia i rzeźnia, niż wszystkie inne razem wzięte urządzenia okrętowe. Nęciła ich również kantyna i przez cztery lata a często — jeśli się zważy wiek zwiedzających — nigdy dotychczas nieoglądana czekolada. Dzieci nie były może głodne, lecz niedożywione.

Czy tylko dzieci? Starsi, a więc matki, siostry i ojcowie, chętnie przyjmowali zaproszenia do wspólnego marynarskiego stołu i z pewnego rodzaju zakłopotaniem przyznawali, że tak wspaniałego obiadu czy kolacji nie jedli od lat. Potem nieśmiało dodawali, że żyją tylko rybą i czarnym chlebem otrzymywanym w ograniczonych ilościach. A dzieciarnia dosłownie opychała się "jamem".

WYSIEDLEŃCY POLSCY W NORWEGII

Następną grupę wizytujących stanowili Polacy, wywiezieni swego czasu do Norwegii na roboty przymusowe. Jest ich sporo i żyli tu w strasznych warunkach, choć teraz, od chwili pozostawienia tam jako oficera łącznikowego jednego z oficerów O.R.P. "Piorun", sytuacja ich uległa pewnej poprawie. Z pomocą przyszedł Polski Czerwony Krzyż, przesyłając im za pośrednictwem O.R.P. "Conrad" i innych naszych okrętów, wielkie ilości ubrań, papierosów i najpotrzebniejszych środków leczniczych. Okręt nasz podzielił się posiadanymi zapasami mydła, prowiantu, a nawet gotówki.

Polacy w Norwegii, to przeważnie młodzi chłopcy o nieukształtowanych jeszcze charakterach, którzy swoim zachowaniem się sprawiają wiele kłopotu tak oficerowi łącznikowemu, jak i gospodarzom, a często gęsto — nawet policji. Norwegia żyje "black-marketem", a Polacy jako przysłowiowo sprytny w takich sytuacjach naród, biorą czynny udział na rynkach każdej branży.

EUROPA WRÓCIŁA DO HANDLU WYMIENNEGO

Podstawą handlu wymiennego, który rozwinął się tu po wyjściu Niemców są: papierosy, srebro, złoto, zegarki, branzoletki, rzadziej aparaty fotograficzne czy srebrne lisy. Najczęściej jednak spirytus metylowy, zwany przez nas "drewniakiem". Za gotówkę można kupić jedynie papier listowy i papierowe walizki. Inne rzeczy, tylko w drodze zamiany.

Gdy więc nasi znajomi, powodując się w ogóle nieuzasadnionym odruchem wdzięczności zamierzali dać nam jakieś pamiątki z Norwegii, jakieś srebrne drobnostki — usiłowali wymienić jakąś inną rzecz srebrną o proporcjonalnej wartości, nie nadającą się jednak do ofiarowania jako "souvenir". Spostrzegliśmy to jednak w porę i gorąco zaprotestowali, grożąc zerwaniem "stosunków dyplomatycznych" z wszystkimi norweskimi przyjaciółmi. To poskutkowało.

Wyładowywanie skrzyń Polskiego Czerwonego Krzyża z pokładu O.R.P. "Conrad" dla Polaków w Norwegii
W lewo na pierwszym planie kapitan mar. Kon, oficer łącznikowy Polskiego Obozu w Oslo

Okręt więc w godzinach przeznaczonych na zwiedzanie, zatłoczony był grupami polskiej i norweskiej ludności cywilnej, z której pewna część wiedziona była zwykłą ciekawością oglądania okrętu, inna zaś przychodziła w celach handlowych. Normalne zjawisko jakie można spostrzec we wszystkich portach, a zwłaszcza portach afrykańskich. Teraz, bodajże najsilniej występuje ono w oswobodzonej Europie.

PRZYJAŹŃ POLSKO-NORWESKA

Chęć pomocy, ugoszczenia, zrobienia choćby najmniejszej radości dziecku i matce powodowały, że marynarze prześcigali się w uprzejmościach. Były tam zresztą i dzieci polskie. Cała niemal załoga pamięta cudnego blondaska, czteroletnią Krysię, która opiekował się jeden z naszych kolegów, znany szeroko pod przezwiskiem "Małpa". Gdy przyszedł moment pożegnania, Krysia płakała i tuliła się do "Małpy", a ten też miał łzy w oczach. Posądzam jednak, że było to raczej z powodu mamusi.

Obopólne zainteresowanie się sobą, bezpośredniość i szczerość Norwegów, a może częściowo i staropolska gościnność "Czym chata — tym rada", sprawiły, że przypadliśmy sobie do gustu i dopasowali wzajemnie jak "hetka z pętelką". Przypominało to atmosferę polsko-brytyjskiej przyjaźni zadzierzgniętej w 1940 roku, choć wiem, że Anglia wtedy nie była "pielęgnowana" w naszych marzeniach, snutych w czasie podróży, a zainteresowanie się nami i okazywana uprzejmość na innym były budowane gruncie. A może dopasowanie "hetki do pętelki" stało się z tak naturalnych powodów, jak potrzeba znalezienia cieplejszych uczuć u ludzi? . . . Zaczęli przybywać reporterzy, a w następstwie tego zjawiły się artykuły w prasie o Polsce i Polakach. Powiększyło to jeszcze napływ zwiedzających.

Życie towarzyskie ograniczone czasem i możliwościami na okręcie, przeniosło się do domów prywatnych. Sonja, Ruth, Franck czy Erick, przychodzili po prostu pod okręt i zabierali znajomych na wycieczkę po Oslo i okolicach, a że wyjście na ląd było od godziny piątej po południu do godziny siódmej rano, nie byliśmy skrępowani czasem i zażywali miłego urozmaicenia, rozkoszując się wspaniałymi zachodami słońca, w czasie których zapach skoszonych łąk przypominał wieś polską i polskie sianokosy. Nierzadko słyszało się polską piosenkę "Przy nocnej rosie — hej, na pokosie!" . . . a może i pod pokosem, bo niektórzy po powrocie zabardzo pachnieli sianem, a wystające zza kołnierza źdźbła trawy nasuwały przypuszczenie, że miłośnik łąk miał jakiś cel maskując czerń marynarskiego munduru odbijającą się od tła białych, norweskich nocy. Gorzej jednak było z łysinami niektórych starszych panów. Świeciły bowiem jak księżyce, dezerterzy niebios.

Oslo teraz żyje jednako dniem, jak nocą. O godzinie czwartej rano można jeszcze widzieć na ulicach pary tańczące. To lud cieszy się z odzyskania wolności. Każdy — jeśli z nim wejść w rozmowę — dzieli się swymi przeżyciami, obawami jakie nim targały i wiarą w wybawienie, które miało przyjść z zachodu. Podobnie jak i my.

Nadszedł jednak dzień odjazdu. Żegnały nas tłumy ludzi na molo. Ostatnie uśmiechy, ostatnie spojrzenia, jakaś wiązanka rzuconych pożegnalnie kwiatów już nie dosięgła okrętu i wpadła w wir pracujących śrub. Za nami pozostawał spieniony ślad szlaku torowego i rozlane w cichym fiordzie słońce. Na ustach igrały słowa marynarskiej piosenki: "Ta przystań osłonięta i te dziewczęta oczarowały nas".

"PASAŻEROWIE NA GAPĘ"

Okręt wrócił znowu do normalnego życia, to jest do jednostajności wacht morskich i krótkich, dorywczych zajęć. Sprawdzenie obecności załogi przekonało nas, że ta zamiast zmniejszyć się jak to się czasami zdarza w gościnnych portach /takiego wypadku nie zanotowano na polskich okrętach wojennych, zawijających nawet do kanadyjskich, czy amerykańskich portów/, powiększyła się o siedmiu nowych członków. To Polacy z Norwegii, "pasażerowie na gapę" skryli się w przeróżnych zakamarkach okrętowych i tą drogą usiłowali dostać się do Anglii. Po okręcie rozeszła się wieść, że marynarze zabrali jakąś Polkę, siostrę czy narzeczoną któregoś z kolegów i wiozą ją, przebraną w kombinezon i czapkę marynarską. Ktoś niby słyszał wymawiane jej imię — Jadzia. Dziś twierdzę, że była to plotka nie mająca żadnych podstaw, a gdyby było inaczej, byłby to najsprytniej dokonany przemyt.

"Pasażerowie na gapę", by pewniej się ukryć, dostosowali się do otoczenia, to jest poprzebierali się w kombinezony i przez pierwsze dni pobytu na okręcie, wykonywali te same czynności co i reszta załogi. Ciągnęli więc liny w czasie alarmu trałowego, myli pokład, zamiatali pomieszczenia i t.p. Czyż można znać wszystkich spośród pięciuset członków załogi? Pokładowi myśleli, że są to maszyniści, maszyniści z kolei brali ich za pokładowych. Po przybyciu do Anglii zaopiekowali się nimi urzędnicy *"Immigration Officer"*, zapewniając ich na prośbę władz okrętowych, że nie będą deportowani do Norwegii.

NIESPODZIANE SPOTKANIE Z "GARLANDEM"

Zdawało się, że nic już nie urozmaici naszego powrotnego rejsu. "Conrad" szedł szybkością szesnastu węzłów, zbliżając się do wysp brytyjskich i mijał idące do Anglii statki handlowe. Wspaniała pogoda pozwalała marynarzom wolnym od wacht na wylegiwanie się na pokładzie. Rejs był raczej formą wypoczynku i spokojnego rozmyślania nad dolą marynarza, jego ograniczonymi możliwościami uciech i rozrywek. Pięć jasnych dni i znowu pustka.

Na horyzoncie zauważono kilka dymów. Konwój na kursie. Miła niespodzianka, bo eskorter mruga światłem i to po polsku:

—Do O.R.P. "Conrad" od O.R.P. "Garland". Cieszymy się z pierwszego spotkania w morzu. Pędzimy stado niemieckich statków z Kopenhagi do Rosyth.

Więc to "Garland"! Wiedzieliśmy, że gdzieś wyszedł, lecz nie wiedzieliśmy dokąd. Na osłonecznionym morzu czerniło się sześć "łajb", a między nimi, jak gotycka wieżyca pomiędzy bizantyjskimi kopułami, chwiała się strzelista sylwetka "Garlanda" — rekordzisty i mistrza polskiej floty w milażu przebytym podczas tej wojny, a wice-mistrza flot alianckich łącznie z brytyjską.

Podchodzimy bliżej. Conrad odpowiada sygnałem:

—My też cieszymy się ze spotkania. Jak tam Tivoli i duńskie "flicki" /dziewczęta/? Powiadają, że teraz na morzu służą tylko "bloody Polaki". Chcielibyśmy gościć was u siebie w Rosyth.

"Garland" zamrugał odpowiedzią.

—Kopenhaga jest tak samo piękna jak przed wojną i warto się tam pokazać. Dziękujemy za zaproszenie i jeśli to będzie możliwe — zobaczymy się.

"BYLEBY RAZEM, BYLEBY Z KURSU NIE ZBOCZYĆ . . ."

Do chwili mijania "Garlanda" było jeszcze kawał drogi. Lornetki na pomoście zwróciły się w jego kierunku, obserwując cały konwój. Odbywało się właśnie zaćmienie słońca i w tym czasie, wchodziło w największą fazę. Odblask słoneczny odbijający się od spokojnej tafli morza, przyćmił się nieco.

Czyż to nie dziwne? Może brzmieć będzie śmiesznie, lecz przy tak silnie rozwiniętej u marynarzy przesądności, spotkanie dwóch polskich okrętów w czasie zaćmienia słońca, miało dla nas symboliczne znaczenie. Choć mrok nas ogarnia, choć jasności ciemnieją, byleby razem, byleby z kursu nie zboczyć! Słońce przybrało kształt półksiężyca i jakby zgarbione wysiłkiem, naprężyło grzbiet ku wschodowi.

Mijamy konwój. Zastępcze bandery* statków niemieckich, najpierw na jednym, potem na drugim, aż do ostatniego statku, obniżały się kolejno do pół masztu.

Mijamy wreszcie "Garlanda". Salut burtowy wykonany gwizdkiem na kontrtorpedowcu dochodzi do naszych uszu. "Conrad" odpowiada trąbką: "Baczność lewa burta!", a za chwilę: "Spocznij!"

Pomosty i pokłady obu okrętów, zaczerniły się od wzniesionych do góry czapek. Mrowie marynarzy oblepiło wszystkie nadbudówki. Poza oficjalnym powitaniem dwóch okrętów, nastąpiło powitanie ludzi znajdujących się na dwóch różnych jednostkach, ludzi niby zupełnie obcych, a jednak tak bardzo swoich, tak bardzo sobie bliskich. Powitanie marynarzy-braci.

Nie chcę być sentymentalny, muszę jednak powiedzieć, że jak po naszej stronie, tak napewno i po stronie "Garlanda", spotkanie to wywarło wielkie wrażenie, wzbudziło choć na moment wzniosłe głębokie poczucie, że nie jesteśmy sami, choć samotną odbywamy drogę. Czy było to zresztą pierwszy raz? Ilekroć razy przechodził koło nas którykolwiek z naszych kontrtorpedowców, lub nawet drobny ścigacz, zawsze budziła się w nas myśl, że "MY", to nie tylko "Conrad", "Garland", czy inna jednostka. Że "MY" to wszyscy: z okrętów, z czołgów, z samolotów, jak i ci, co wolną Polskę do lasów wynieśli.

OKRĘT JEST, JAK NARZECZONA . . .

Dziwnie wiąże się przyjaźń dwóch okrętów i dwóch załóg. Poza współzawodnictwem o lepsze, poza wyścigiem pracy na morzu, między załogami spotykającymi się na lądzie, nierzadko istnieje pewna różnica zdań. Spróbuj jednak powiedzieć komuś, że jego okręt to skrzynia, to "bandura", to stare pudło. Jeśli nie miałeś sztucznej szczęki, możesz ją otrzymać.

Pewnego razu dwóch marynarzy pobiło się do krwi i dowódca Dywizjonu Kontrtorpedowców przyjmował raport. Powtórzyła się scena jakby żywcem wyjęta z opowiadań Wiecha.

—I o cóż to poszło, że pobiliście kolegę z innego okrętu? — zadaje komandor pytanie zwycięskiemu marynarzowi.

—Panie komandorze — brzmi odpowiedź — do czasu, gdy mi wymyślał od najgorszych i rodzinę mi po kątach rozstawiał, a nawet mnie "chipsami" karmionym nazwał, nie uderzyłem go, sobaczyłem mu w podobny sposób. Ale gdy mi powiedział, że nasza okrętowa syrena ryczy, jak stara krowa, trzasnąłem pentaka w zęby i nawet mu "sorry" nie powiedziałem.

Komandor popatrzył na poturbowanego marynarza i wydał wyrok uniewinniający, wychodząc z założenia, że okręt to tak jak narzeczona. O obojgu źle mówić nie wolno, bo za złe wyrażanie się, bije się po prostu w zęby i nie mówi się "sorry".

Choć załogi zetrą się czasem na lądzie jak dwa papiery szmerglowe, aż do zgrzytu, spotkanie na morzu jest zawsze miłe. Jakżeż więc miłe było spotkanie nasze z okrętem, z którym nie miało się żadnych zgrzytów, żadnej różnicy zdań.

Zostawiliśmy "Garlanda" i poszli dalej swym kursem. Zaciemnienie słońca dawno już minęło, a choć dzień był pogodny i widoczność bardzo dobra, dymy ciągnącego za nami konwoju zacierały się zwolna na tle sinawego nieboskłonu, póki wreszcie znikły zupełnie.

Tylko mewa-samotnica towarzyszyła nam swym bezszmerowym lotem.

STANISŁAW SIKORSKI

---

* Z chwilą podpisania bezwarunkowej kapitulacji niemiecka flota handlowa otrzymała rozkaz opuszczenia bander. Chodzi obecnie pod banderą zastępczą, którą stanowi międzynarodowa flaga sygnałowa, litera "C z wycięciem". Oznacza to, że załoga i dowódca są niemieckie. Jeśli dowódcą jest oficer należący do Aliantów, statek chodzi pod banderą brytyjską.

Ręce artystów

Reportaż o polskich mechanikach lotniczych

Przy "Mustangu"

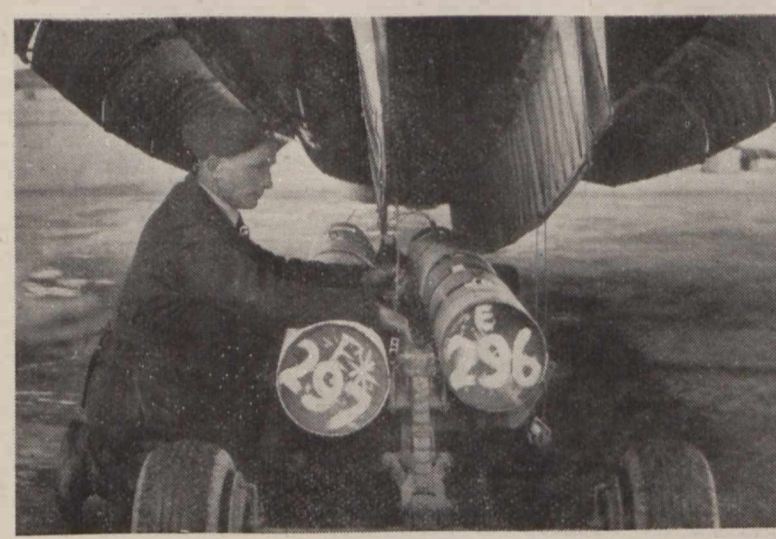

Podwiązywanie bomb

Proszę przekazać całemu personelowi polskiemu, który pełnił lub pełni nadal służbę w ramach Bomber Command — jak wysoko oceniają tę służbę ich brytyjscy koledzy, u których boku współdziałali oni w zniszczeniu nieprzyjaciela i zadaniu mu klęski.

Determinacja i odwaga Załóg Polskich była zawsze najwyższej próby; wspomagana fachową i nieprzerwaną pracą personelu ziemnego.

Sprawa nasza była zawsze jedną i tą samą, a nasza wola walki do całkowitego pokonania nieprzyjaciela nigdy nie uległa zachwianiu. Oby przyjaźń ta i braterstwo pozostały na zawsze.

Depesza Sir Arthur Harris'a z dnia 19 maja b.r. do gen. M. Iżyckiego

UDZIAŁ MECHANIKÓW WE WKŁADZIE LOTNICTWA

Omawiając wyczyny i wkład naszego lotnictwa do wojny nie wolno zapomnieć o mechanikach. O tej grupie ludzi, która swą niezmordowaną pracą na ziemi — utrzymała samoloty w powietrzu. Która oddała maszynom i załogom najpiękniejszą rzecz ludzką — uśmiech. I najcenniejszy w świecie dar — serce.

Nie nadarmo Sir Arthur Harris, dowódca Brytyjskiego Lotnictwa Bombowego w rozkazie do polskich dywizjonów bombowych, podkreślił tak silnie pracę naszego personelu ziemnego. Bo tak się już w tej wojnie złożyło, że polski mechanik stał się pracą swą i sumiennością — słynny. Im cięższe były warunki pracy, im większe trudności do pokonania, tym dobitniej zaznaczała się jakość pracy polskiego mechanika. Dywizjony nasze zawsze wystawiały największą ilość maszyn do lotu, zawsze było wiadome, że gdy zajdzie potrzeba, nasz personel ziemny zrobi wszystko co w ludzkiej mocy, by uruchomić żądane maszyny.

DWA PRZYKŁADY PRACY POLSKICH MECHANIKÓW

Gdy w *"Battle of Britain"* jednego wieczora postrzelano nam ciężko dziewięć samolotów — Anglicy postanowili odesłać je do naprawy fabrycznej. Uzupełnienia nie było, więc od ilości zdolnych maszyn do lotu zależało życie Dywizjonu, i nasi mechanicy zawzięli się. Pracowali całą noc, w *black-out'ie*, przy zaciemnionych światłach w dziurawym hangarze. I na drugi dzień rano postawili w gotowości bojowej siedem z dziewięciu postrzelanych maszyn. W jednym wypadku, z trzech ciężko uszkodzonych samolotów zrobiono jeden prawie nowy. Po prostu pozamieniano płaty, usterzenie i wymieniono silnik. Dywizjon rankiem wystartował jak co dzień do walki.

W czasie ofensywy zimowej Rundstedta w zeszłym roku, nasze *"Mosquito'a"* miały wystartować w ciągu nocy na bombardowanie kolumn pancernych. Po lekkiej odwilży przyszedł nagle mróz i pokrył wszystkie maszyny gęstym szronem. Na lotnisku powstał popłoch, ale mechanicy powiedzieli, że jak maszyny muszą pójść, to pójdą. Całą noc podgrzewano silniki, całą noc oczyszczano płaty i powierzchnie kadłubów z narastającego z każdą godziną szronu. Bowiem przechłodzone, wilgotne fale powietrza pełzły przy samej ziemi i ścinały się w lód na powierzchni samolotu. A gdy przyszedł rozkaz o brzasku, maszyny poszły w powietrze. Wystartował znowu tylko — Dywizjon Polski.

PRACA RĄK, PAMIĘĆ SERCA I OFIARNOŚĆ ŻYCIA

Niewesołe jest życie mechaników i praca ich nieefektowna. Mieszkając w odległych, najgorszych barakach pracować muszą najciężej. Na otwartym lotnisku, bez biur, najczęściej bez hangaru. W deszczu, w wichurze i na mrozie. Lub w letnią spiekotę słońca, gdy każde dotknięcie samolotu parzy i gdy z nieba leje się żar. Pierwsi, przed świtem jeszcze na lotnisku, schodzą z lotniska ostatni. I choć brak dla nich orderów i najczęściej pomijani przy awansach, zawsze są uśmiechnięci, zawsze chętni do pracy, życzliwi. Oni wiedzą najlepiej, że przez te dziewięć godzin w powietrzu, z dala od lądu i bazy, życie sześciu ludzi załogi spoczywa w ich rękach — spracowanych, czarnych rękach artystów.

Personel latający się zmienia. Oni pozostają. Pamiętają każdą załogę i każde jej przeżycie. W ich sercach przewija się historia Dywizjonu dużo barwniejsza i bogatsza, niż w najpiękniejszej kronice. Jak matka czule pieści swoje dzieci, tak oni wspomnieniami barwią tych, którzy odeszli. I nieraz na zarosły zielskiem grób, o wytartym już, zamazanym nazwisku na krzyżu — rzuci ktoś świeżą wiązkę kwiecia. To mechanik. Mechanik, który kiedyś obsługiwał był jego maszynę. Bo mechanicy są, będą i pozostaną, wciąż żywą tradycją Dywizjonów.

Dla pilotów, nawigatorów i strzelców stworzono odznaczenia bojowe. O mechanikach jakby zapomniano. A ilu z nich zginęło w Polsce, we Francji i w czasie *"Blitz'u"*, pracując przy maszynach, pod ogniem broni maszynowej i bomb nieprzyjaciela? Kiedyś, ktoś może wyciągnie z pyłu zapomnienia nazwiska tych, którzy tak polegli. Może historia przyzna im również prawo do błękitnej wstęgi "Virtuti Militari".

Bo ci na ziemi, nawet ratując rannych z rozbitej i palącej się maszyny, ryzykują swe życie na równi z latającą załogą, gdy wyciągają palących się z ognia, narażając się na wybuch zbiorników benzyny lub niewyrzuconych jeszcze bomb.

HISTORIA PEWNEJ NOCY W SWINDERBY

Działo się w z 1941 na lotnisku w Swinderby. Rozbiła się maszyna wracająca z operacji. Była noc. Samolot płonął żółtym, jasnym płomieniem. Ogień buchał wysoko, rozszerzając się błyskawicznie. Dochodził już do wieżyczki tylnego strzelca. Mechanik, który rzucił się na ratunek wyciągnął już drugiego pilota i obserwatora, a teraz skoczył, by ratować strzelca. Kraksa zablokowała wieżyczkę, ogień odciął drogę ucieczki. Zamknięty wewnątrz wzywał ratunku ranny strzelec. Więc mechanik gołymi rękoma rwał twarde, przezroczyste płaty perpexu i ostre, sztywne kątowniki żeberek aluminiowych. Krew spływała mu obficie z pociętych, kaleczonych dłoni. Nie zważał na nic. Z błędnym spojrzeniem i sczerniałą od ognią twarzą, opalonym włosem — rwał twardy perpex wieżyczki. On, polski mechanik z "Wellingtona" — ratował swoją załogę.

Zaróżowiły się wierzchołki drzew w czerni rozświetlonej pożarem nocy. Zawyła na starcie sanitarka, ruszając pełnym gazem, zajęczał ciężki sześcio-kołowy wóz pożarny. Z głuchym hukiem eksplodował zbiornik benzyny w prawym skrzydle rozlewając szeroką strugą palącą się benzynę. Zrobiło się jasno jak w dzień. Zaczęły wybuchać butle z tlenem, świecąc białym światłem magnezjowym. Ogień objął przednią wieżyczkę. W syk płomieni i huk pękających butli, wdarł się suchym, przeraźliwym jazgotem odgłos rwącej się amunicji. Ponad głowami i na trawę lotniska zaczęły strzelać czerwone skry zapalającej i smugowej amunicji, wypalając na ziemi w trawie rude, fosforowe plamy.

Wtem, jeden z leżących z boku cieni podniósł się z ziemi i zaczął iść w kierunku płonącej maszyny. Chwiał się i potykał, rękoma chwytał powietrze, zataczał się, ale szedł naprzód. Poprzez trzask wybuchającej amunicji doleciał nas jego głos: "ratujcie pierwszego pilota . . . ratujcie pierwszego pilota . . ."

—Ruszcie się durnie! — wrzasnął mechanik do stojących opodal ludzi i skoczył do idącego. Podciął mu nogi i rzucił na ziemię przykrywając go własnym ciałem.

Nowy wybuch rozrzucił setki świecących się ognistych punkcików. Wokół po trawie siekły pociski, przelatując ze świstem ponad głową. A on przywarł ciasno do leżącego i zasłaniał go swym ciałem od pryskających wokół kul. Nagle ranny drgnął, chciał znowu wstać. Ale jęknął tylko. "Ratujcie . . . pierwszego pilota . . ." Mechanik schwycił go za rękę i ściskał:

— . . . Niech się pan porucznik nie rusza . . . Niech się pan porucznik nie denerwuje . . . Ja tu tylko tak chwilę poosłoniam i zaraz sobie pójdę . . .

Nowy wybuch targnął powietrzem rozlewając krwawy blask na chmury, pobliski las i wystraszone, pobladłe twarze mechaników.

HISTORIA MECHANIKA, KTÓRY LATAŁ

Ratunek jednak pierwszego pilota był niemożliwy. Śmiertelnie ranny w chwili zderzenia, skonał zanim możliwa była pomoc. Tymczasem wyrąbano z wieżyczki tylnego strzelca i uruchomiono gaśnice. Pożar powoli dogasał.

Ranek rozświetlił czarne, spalone szczątki "Wellingtona". Wyjmowano zwłoki pilota i przedniego strzelca. A o kilka mil od lotniska, na izbie chorych, na wspólnej sali, leżeli: nawigator, drugi pilot, radiota, strzelec i — mechanik. Ten właśnie mechanik, który uratował im życie.

A sierżant W.? Śmiano się przecież z niego, gdy zgłosił się jako mechanik pokładowy na latanie. — "Ty stary latać, w twoim wieku. Rozlecisz się z samego pędu" — mówili. I potem śmiano się z niego, nawet gdy zaczął już latać: "że wysokości nie wytrzymuje, po locie, że zasnąć nie może, że ma blisko 60 lat i właściwie wnuków w nocnych pantoflach mu doglądać, a nie za samoloty się chwytać i t.p."

A on nic. Uśmiechał się tylko i latał. Aż raz, wracając w ciemną burzliwą noc, z któregoś już tam lotu bojowego, rozbił się na morzu wraz ze swoim "Liberatorem" tuż przy lotniku, gdy podchodzili do lądowania. Maszyna pękła na trzy części. Woda zalała kadłub — samolot tonął wraz z załogą. Lecz sierż. W. nie stracił głowy. Chociaż z rozbitą twarzą i wybitymi zębami rzucił się pierwszy na ratunek załogi. Wyrzucił na wodę *dingi* i zaczął wyciągać rannych kolegów. Ten starszy pan, choć sam ciężko ranny, do ostatniej chwili zachował przytomność umysłu.

MECHANICY — ZAŁOGI — MASZYNY

Bo mechanik ma we krwi, że załoga — maszyna — i on, to jedno. Jedna rodzina. Że należą do siebie wspólnie i dzielą jeden los.

Zawsze gdy kołowałem z *dispersal'u* na start, czułem na sobie to spokojne, poważne i serdeczne spojrzenia obsługi, jak odprowadzały nas, załogę i maszynę na długi, nocny lot. I okrążając lotnisko po starcie wiedziałem, że oni tam w dole patrzą na mnie i słuchają, czy silniki, ich silniki pracują tak, jak należy. Że troszczą się o mnie i myślą. Ileż to razy w ciężkich, prawie że beznadziejnych warunkach pocieszałem się jedynie myślą, że ta maszyna przecież dociągnie — bo tam o setki mil czekają na nią jej mechanicy.

Ileż to razy, gdy ktoś z kolegów opóźniał się z lądowaniem, nie dając o sobie znaku życia, chodziłem pełen złych przeczuć i niepokojów, a dopiero niebieskie oczy i równy głos mechanika przywracały mi spokój. Te proste: — "Panie poruczniku, ta ja grata znam od dziecka. Ta maszyna nie ma prawa nawalić. Ona wróci". I maszyny wracały.

Pamiętam raz we wrześniu 1939 r., na lotnisku polowym w Podlodowie rozbiła się PZL 11. Nie było czasu na naprawę — eskadra zmieniała lotnisko — trzeba było samolot spalić. Właśnie mechanik wymontowywał przyrządy schowany z głową w kabinie pilota. Podszedłem i przez obdarte z blach wiązania kadłuba zobaczyłem, jak na wypukłe szkło busoli padają ciężkie, gorące łzy mechanika. Płakał.

Bo to była jego ostatnia maszyna.

JERZY GŁĘBOCKI

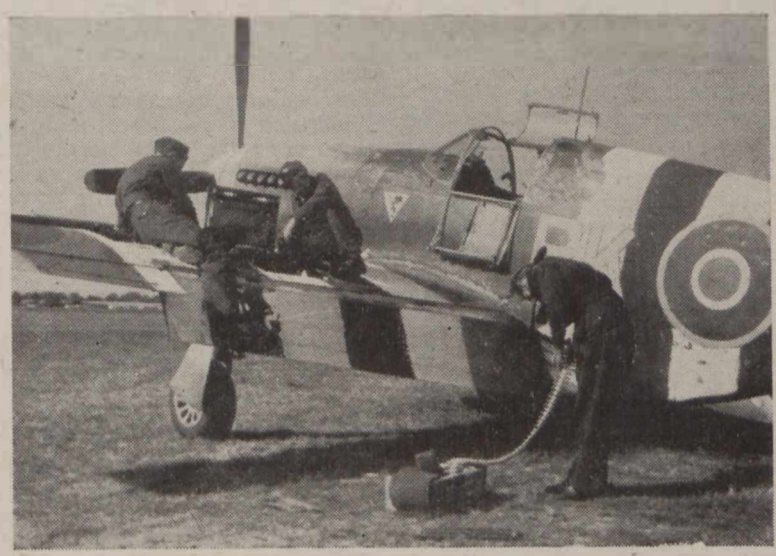

Zakładanie taśm amunicyjnych

Polski "Lancaster"

Staraniem Pen-Clubu Polskiego

w piątek, dnia 10 sierpnia o godz. 6.15 wiecz. odbędzie się w Ognisku Polskim 45, Belgrave Square, London, W.1.

WIECZÓR POŚWIĘCONY

MARII PAWLIKOWSKIEJ

mówić będą:

STANISŁAW BALIŃSKI, MARIAN HEMAR, ZYGMUNT NOWAKOWSKI, TYMON TERLECKI

wiersze odczyta:

TOLA KORIAN

Dochód poświęcony na pomoc Polakom w Niemczech

Wstęp 2/6 /dla szeregowych w mundurze 1/-/

Wyprawa do obozu prasowego

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Dawniej, za dobrych czasów wojny, do *Press Camp'u* jeździło się co dzień, aby nadać przez *teleprinter* depeszę lub wysłać pocztą lotniczą aktualne wiadomości z pola walki. Obecnie korespondenci wojenni czasu pokoju są pozbawieni tych możliwości i podróż z miejsca postoju wojsk polskich do najbliższego obozu prasowego jest wyprawą samochodową, wymagającą czasu, żywności i opracowania trasy. Jeżeli uda się trafić do *Press Camp'u* dwa razy w miesiącu, to znaczy, że korespondent wojenny jest wzorem przedsiębiorczości i demonem podróży.

O ile jednak dawniej jazda do *Press Camp'u* była tylko mniejszą lub większą stratą czasu, o tyle teraz nabrała uroku wycieczki turystycznej i stała się sama tematem do jeszcze jednej historii z pobytu na Kontynencie, stawiającym pierwsze kroki ozdrowieńca, który powstał po ciężkiej chorobie niewoli, prześladowań i wojny.

Obecnie do *Press Camp'u* jedzie się zagranicę. W czasie wojny nie było granic i często człowiek będąc w głębi kraju stwierdzał, że znajduje się na obszarze innego państwa. Teraz trzeba przystanąć przy szlabanie i zademonstrować przed żandarmerią brytyjską, względnie strażą holenderską lub belgijską niewinny wyraz twarzy, aby niepotrzebnie nie wzbudzać podejrzeń co do jakichkolwiek czarno - rynkowo - przemytniczych machinacyj. Nie jest to jednak jeszcze kontrola pedantyczna, poszczególne kraje wyzwolonej Europy mają zbyt ważne zadania na głowie i zbyt świeża jest jeszcze pamięć jedności w zwalczaniu wojennego pożaru, aby chciało się lub mogło tak od razu pozamykać granice na siedem żelaznych zamków paszportowo-wizowo-celnych. Jeszcze armie sprzymierzone nie zakończyły swych wędrówek po sieci dróg konwojowych, nałożonych bezceremonialnie na mapę Europy, bez uwzględnienia podziału na pilnie strzeżone przez właścicieli — chińskie ogródki. Ale też ta obecna Europa zmniejszyła się znacznie. Chiński mur przeciął ją w połowie i cały wschód dołączył do tajemniczej Azji.

Chiński mur przeobraził Europę. Oddziały wojsk polskich stoją na zachodnich kresach Niemiec, a kanadyjski *Press Camp* znajduje się w środku Holandii — w Utrechcie. Przed wojną byłaby to krótka wycieczka po Zachodniej Europie. W dziwnych czasach obecnych jest to podróż ze wschodniej do zachodniej Europy, przy czym ten obecny Wschód — brytyjsko-amerykańska zona okupacyjna Niemiec — posiada wiele cech kotła bałkańskiego. Tylu paradoksów, absurdów, dziwactw, takiego miszmaszu narodowości i pojęć, tylu kontrastów — ta część Europy nie znała od stuleci.

Zostawmy jednak ten temat, zbyt obszerny, by mógł znaleźć miejsce w tym reportażu i korzystając z wojskowego wozu i legitymacyj prasowych, przekroczmy bez trudności granicę holenderską. Znajdziemy się, jak się rzekło, w zachodniej Europie. Holandia jest pięknym krajem, szczególnie kiedy słońce jasno świeci na błękitnym niebie. Miasteczka i miasta są czyste, wesołe i zabawne. Ludność również schludna, pogodna i uśmiechnięta. Przy czym ta część Holandii, od granicy niemieckiej do Arnhem, z Arnhem do Apeldoorn, potem przez Amersfort do Utrechtu i stamtąd najkrótszą drogą z powrotem do Arnhem krajobrazowo nie ma nic wspólnego z tym, co przywykliśmy sobie wyobrażać na dźwięk słowa "Holandia". Droga faluje tutaj po grzbietach połogich wzgórz, piękne lasy ciągną się kilometrami, brak depresyj, mokradeł i kanałów.

W Arnhem tym razem nie miałem prasowego interesu, ale nie można przejechać przez to miasto, aby nie obudziło się w sercu wzruszenie. Zrujnowane ulice, ślady niegdyś pięknych domów — straszliwe pobojowisko zaczyna wracać do życia. Na ulicach co raz to rojniej. Przed poszczerbionym murem, pokrytym wesołymi afiszami, stoi pokaźny ogonek młodzieży. Tutaj mieści się kino.

Na zachodnich przedmieściach miasta, w Oosterbeek, przed podziurawionym hotelem "Hartenstein" zatrzymuję auto i zapraszam moich współtowarzyszy podróży na krótką przechadzkę po parku hotelowym. Drzewa zazieleniły się wspaniale, ale nie potrafiły ukryć swego kalectwa. Potrzaskane pnie i konary zwisają nad trawnikami, pokrytymi chaosem potrzaskanego sprzętu i broni.

Tu właśnie ginęła brytyjska 1 Dywizja Powietrzna. Tu na niewielkiej przestrzeni żołnierz koło żołnierza wgryzać się w ziemię, aby uchronić się przed nawałą żelaznego deszczu. Większość dołków zapadła się i porosła trawą. Gdzie niegdzie sterczy biały krzyżyk z napisem *"Unknown British Soldier"*. Ale wśród kilku spalonych i zdruzgotanych samochodów, które dostały się tutaj z W. Brytanii drogą powietrzną — szybowcami, leży wywrócony, zapewne przez wybuch pocisku, *jeep* z napisem "P1" i z wymalowanym znakiem pikującego orła polskich spadochroniarzy. Właśnie to chciałem pokazać.

Jedziemy dalej. Gdzie niegdzie na drogach szerokich, gładkich jak stół, nasz samochód nagle podskakuje aż trzeszczą resory. Już wiemy jaki tego powód : ta kamienna łata na asfalcie, ten w rowie spalony samochód lub czołg niemiecki — to ślad wielkich igrzysk polskiego skrzydła "Spitfire'ów", który w ostatnich fazach walk o wyzwolenie Holandii rzucił groźny cień śmierci na te jasne drogi.

Załatwiwszy sprawę hotelu i wyżywienia w *Press Camp'ie*, w Utrechcie, wyruszamy w dalszą drogę — do Hagi, a potem do Haarlem, gdzie moi towarzysze podróży Marian Walentynowicz i ppor. Zbyszek S. z Dywizji Pancernej mają swoich holenderskich przyjaciół.

Z Utrechtu do Hagi prowadzi imponująca autostrada, którą przecinamy już typowo holenderski krajobraz depresyj, kanałów i wiatraków — sztuczny kraj stworzony przez wiele pokoleń zdolnych inżynierów i niestrudzonych robotników.

W Hadze spotyka nas pech — nie zastajemy w domu znajomych Walentynowicza. Jest tylko służąca trochę speszona naszym najazdem, tym bardziej, że wyciągamy z samochodu prowianty i bezceremonialnie rozgoszczamy się w mieszkaniu jej chlebodawców. Marian zapewnia nas, że gospodarze będą z tego bardzo radzi.

W tym holenderskim mieszkaniu na prawdę można czuć się jak u siebie w domu. Oto duży obraz na ścianie wyobraża górala . . . zakopiańskiego. Laleczka, również góral zakopiański, wisi nad tapczanem nakrytym polskimi kilimami, gospodarz jest posiadaczem wielu polskich książek, nawet sławnego "Koziołka-Matołka", której współautor /obok Makuszyńskiego/ Walentynowicz tak poszukiwał na emigracji. Całe pokolenia polskiej dzieciarni wychowało się na tej popularnej książeczce. Tam na stoliku obok kwiatów leży notatnik z drewnianą okładką, rzeźbioną przez jakiegoś ucznia Szkoły Przemysłu Drzewnego w Zakopanem. A na biurku spostrzegam kompas — oryginalny "Polski Bezard". Szkoda, że nie zastaliśmy gospodarzy, którzy z dalekiej Polski, gdzie spędzili szereg najmilszych lat swego życia przywieźli do Hagi tyle wspomnień i pamiątek.

Haarlem holenderski w przeciwieństwie do murzyńskiego Haarlemu w Nowym Yorku jest miastem pięknie położonych will i cudownie ukwieconych ogrodów. Znajomi ppor. Zbyszka S. mieszkają na odludziu wśród bujnych okolicznych lasów, pokrywających przybrzeżne wydmy. Podczas wojny w tych właśnie lasach ukrywały się śmiercionośne wyrzutnie bomb latających, tu było jedno z najważniejszych źródeł śmierci i ruin w Londynie. Teraz wśród wysokich drzew wąska kręta droga, malownicza i cicha, doprowadza do celu. Gospodarze witają nas wszystkich jak najserdeczniej. Nic dziwnego — pani domu bawiła w Bredzie podczas zdobycia tego miasta przez polską Dywizję Pancerną.

Podczas rozmowy jeden z obecnych Holendrów, lekarz z pobliskiego szpitala, zapytał mnie, czy przypadkowo nie znam polskiego lotnika ze skrzydła "Spitfire'ów", który został zestrzelony w tych okolicach, uratował się, był z nim skontaktowany, a potem przy pomocy holenderskiego *Underground'u* przedostał się z powrotem na stronę aliancką. Miał to być wysoki, szczupły młodzieniec o włosach, jak określił lekarz, *à la* Paderewski. Hallo, nieznany lotniku, masz pozdrowienia od Holendrów z Vogelenzang koło Haarlem!

Z Haarlem droga prosto jak strzelił, wzdłuż kanału, prowadzi do Amsterdamu. Jest to duże miasto, ale znów nie tak wielkie, aby nie można tam było natknąć się na Holendra, który obok innych polskich odznaczeń bojowych posiada "Virtuti Militari", zdobyte za walki w szeregach wojska polskiego w r. 1920.

Droga powrotna z Amsterdamu do Utrechtu wije się jak wąż wśród starych zielonych kanałów, między domkami przypominającymi zabawki, poprzez sielankę wsi holenderskiej.

Jeszcze życie w tym kraju nie doszło do równowagi, jeszcze wśród bogactwa, pięknych will, imponujących samochodów, rasowych psów i autostrad, ludzie są pozbawieni najprymitywniejszych artykułów dnia codziennego, brakuje żywności, opału, papierosy są na wagę złota, ale i to prawdopodobnie wkrótce powróci do normy.

Buldozery oczyszczają miasta z ruin, gospodarze naprawiają swoje domki, barki wydostają się ze zniszczonych kanałów na swobodne drogi wodne. Holandia znów jest państwem, ze swoją królową, z rządem, z niepodległością, z narodem i ziemią. Może z czasem powrócą także bogactwa Indyj Holenderskich i handlu dalekomorskiego. Ale jeszcze jest mnóstwo powojennych kłopotów.

—20.000 krów zrabowali Niemcy z naszego kraju — uskarża mi się jeden z Holendrów — a *Military Government* w Niemczech nie chce nam zwrócić pozostawiając je na użytek Niemców.

Chcę współczuć, ale nie mogę, bo przyjechałem z Niemiec i wiem, że jeżeli to prawda, to z pewnością z tych krów korzystają również tysiące, tysiące ludzi, którym Niemcy i nie-Niemcy zrabowali wszystko i nic nie mają zamiaru zwrócić.

Byłem w Apeldoorn przed pałacem Het Loo, gdzie z królewskim rozmachem sympatyczny książę Bernard założył swoją wojskową kwaterę. Uroczysta warta trzyma u wejścia straż, a co chwila zajeżdżają przed bramę wspaniałe Buick'i i Packard'y. Przypomniały mi się niedawne czasy, gdy ks. Bernard pilotując "Dakotę", którą królowa Wilhelmina przyleciała odwiedzić wyzwoloną wówczas południową Holandię, przyszedł osobiście, jako pilot, zameldować swoje lądowanie u polskiego oficera we *Flying Control* na lotnisku w Gilze koło Bredy, którego gospodarzem było polskie skrzydło "Spitfire'ów". Tamten ks. Bernard był nam bliższy, bo wtenczas on był księciem na wygnaniu, a my wojskiem, które wywalczało wolność Holandii.

Nie wiem, jakie zamiary co do Polski ma rząd holenderski — prawdopodobnie takie same, jak Wielka Brytania za *Battle of Britain*, jak Ameryka za Kościuszkę i Puławskiego, jak Francja za liście do laurów napoleońskich, za rok 1940, za Falaise i Chambois, jak Belgia za wyzwolenie kilku miast, jak Norwegia za Narvik, jak Włochy za Monte Cassino, Anconę, Bolonię, jak każdy, który poległym stawia pomniki za pieniądze zarobione handlem z żywymi. Takie jest życie, któregośmy się jeszcze nie nauczyli.

A jednak nie wydaje mi się, aby ta nasza droga przez Holandię, usiana mogiłami polskich pancerniaków, lotników i spadochroniarzy, była drogą fałszywą. Byliśmy świadkami, jak rozlatywały się państwa, jak paliły się sklepy i handelki, jak pieniądz stawał się śmieciem, jak potężne przemysły stawały się niedołężnymi skupiskami maszyn, gdy brakowało wiary w siebie, w słuszność sprawy, w ideały. Widzieliśmy również na jakie wyżyny sił moralnych potrafiła wznieść się Wielka Brytania stojąc na skraju przepaści i jak szybko utraciła swój prestiż wśród kulturalnych narodów, gdy odstąpiła od wiary, którą przedtem głośno wyznawała.

Bo czasy, które nadeszły, mają znamiona barbarzyństwa, któremu przeciwstawić się może jedynie rycerstwo. To nie są czasy handlu i mieszczańskiego dobrobytu. Te czasy są surowe i brutalne. Te czasy przeżyje ten naród, którego poszczególne jednostki nie będą bały się śmierci. Nikogo nie ominie w Europie los Polski, o ile narody nie nauczą się żyć i walczyć wspólnie. Polacy — naród z pierwszej linii walki o cywilizację zachodnio-europejską, opuszczeni przez Europę — utracili swoje stanowiska na własnej ziemi. Jeżeli mogiły polskich żołnierzy zasłały Francję, Belgię i Holandię, zamiast pozostać na polskiej ziemi — to jest złowieszczym "memento" cofania się linii obronnych.

Ofiarujemy te mogiły wraz z wolnością narodowi holenderskiemu, bo Holandia, będąc dotychczas w przeciwieństwie do Polski krajem dalekich tyłów, zaczyna się powoli przekształcać w naród liniowy. Stąd coraz to większe między nami zrozumienie, coraz większa sympatia.

Dawniej, podczas wojny, wyjeżdżałem z *Press Camp'u* do walczących oddziałów, by powrócić za kilka godzin. Teraz gdy wyjeżdżam do mojej jednostki, opuszczam Europę zachodnią i udaję się do — wschodniej. Bo Europa skurczyła się i zmieniła. I to jeszcze nie jest koniec tego kataklizmu — myślałem — jadąc na wschód.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

KOMUNIKAT

Szefostwo Służby Opieki Nad Żołnierzem Sztabu N.W. informuje, że:

I. W sprawie poszukiwań oficerów należy się zwracać do Oddziału Person. Sztabu Naczelnego Wodza — St. Paul's School, Hammersmith, London, W.14.

II. W sprawie poszukiwań szeregowych:

a/ mających przydział na terenie W. Brytanii, 1 Dyw. Panc. i Brygady Spadochr. — do Komendy Uzupełnień Nr. 1: Polish Forces P/64

b/ odnośnie szeregowych na Śr. Wsch. — do Komendy Uzup. Nr. 4 /Egipt/: Polish Forces M.E. P/201 i do Komendy Uzup. Nr. 3 /Włochy/: Polish Forces C.M.F. P/549

c/ odnośnie żołnierzy Lotnictwa — do Komendy Uzupełnień Nr. 2: R.A.F. Station, Dunholme Lodge, nr. Lincoln.

d/ odnośnie żołnierzy Marynarki Wojennej — do Komendy Uzup. Floty — Stocke Terrace, Plymouth/.

III. W sprawach poszukiwań: a/ osób cywilnych polskich, b/ byłych jeńców wojennych, c/ żołnierzy deportowanych na roboty do Niemiec — do P.C.K. 34, Belgrave Square, London, S.W.1.

Epokowy wynalazek

Dnia 6 sierpnia prezydent Stanów Zjednoczonych Truman podał do publicznej wiadomości, że przed szesnastu godzinami padła na ziemię japońską — pierwsza bomba atomowa. Szef wielkiej demokracji amerykańskiej podał przybliżoną siłę nowej broni, stwierdzając, że równa się ona 20 tysiącom ton materiału wybuchowego, a podmuch jej jest 2 tysiące razy większy niż podmuch najsilniejszej bomby będącej dotychczas w użyciu. W ślad za tą wiadomością ukazało się oświadczenie byłego premiera W. Brytanii Winstona Churchilla. Podaje ono historię tego wynalazku, który jest dziełem sześciu lat zgodnej współpracy angielsko-amerykańskiej, dziełem wspólnym anglo-saskiego geniuszu, dziełem poczętym w mózgach uczonych angielskich, ostatecznie urzeczywistnionym w fabrykach amerykańskich.

Bomba, która w niedzielę 5-go sierpnia padła na japońską bazę wojskową Hiroszimą na wyspie Honszu przypieczętowała los Japonii i tak już przesądzony oddawna — z pomocą lub bez pomocy sił jeszcze dotąd przeciw żółtemu totalizmowi niezmobilizowanych.

Ale ten pocisk straszliwej siły uderzył nie tylko w podstawy, w samo serce imperializmu japońskiego. Ten pocisk, mający wszystkie znamiona rozpętanej siły kosmicznej — wywołał olbrzymi wstrząs w dotychczasowym obrazie świata. Jest wydarzeniem stanowiącym epokę, koniec jednego i początek drugiego rozdziału dziejów ludzkości.

Wynalazek bomby atomowej, oddający w ręce człowieka olbrzymią energię dotychczas mu niedostępną — przesunął gwałtownie istniejący stosunek sił. Równowaga, która ujawniła się nazajutrz po zakończeniu wojny w Europie przechyliła się gwałtownie na stronę demokracyj anglo-saskich. W ich rękach znalazła się siła, dystansująca masy ludzkie, obszary, zdolności wytwórcze — wszystko to, co dotąd stanowiło o potencjale wojennym.

Jednocześnie z tym pomnożeniem potęgi fizycznej spadła na barki demokracyj anglo-saskich stokroć większa, niż dotąd odpowiedzialność za cały bieg spraw na globie ziemskim, za los całej ludzkości. Od nich w tej chwili zależy czy rozpętana siła, czy energia wyzwolona z materii stanie się siłą niszczącą wszystko, czy też siłą gwarantującą pokój. Od nich zależy, jaki to będzie pokój — pokój wolności czy niewoli, równości czy uprzywilejowania, pokój według praw boskich i ludzkich czy praw dżungli.

Dokonany wynalazek zdaje się ostrzej stawiać sprawę zasad moralnych we współżyciu narodów na ziemi, niż jakiekolwiek inne wezwanie czy zaklęcie. Uniemożliwia on raz na zawsze dążenie jednego państwa, narodu czy ustroju do władania światem, wyklucza możliwość światowego imperializmu — czarnego, czerwonego, żółtego czy jakiekolwiek innego. Otwiera możliwość wieczystego pokoju i obwarowuje go groźbą — szybkiego, całkowitego zniszczenia ludzkości w sposób obserwowany dotąd tylko w świecie gwiazd i planet. Stawia wybór: pokój albo zagłada.

Zastosowaniu bomby atomowej winna towarzyszyć głęboka przemiana w świadomości jednostek i narodów, przemiana w widzeniu i ocenie zjawisk życia ludzkiego na ziemi. Nigdy dotąd w tej mierze los ludzi nie znalazł się w ich własnych rękach. Nigdy dotąd glob ziemski nie był w tym stopniu całością związaną jednym losem.

Jest to olbrzymia szansa i równie wielka groźba. Każdy obywatel globu, każdy świadomy Europejczyk, każdy świadomy Polak — musi pragnąć, aby ta szansa nie została zaprzepaszczona, aby straszliwa groźba zawisła nad naszą cywilizacją nigdy się nie spełniła.

Z zatrwożeniem, ale i nadzieją patrzy na ten nagły zwrot w dziejach naród polski — straszliwie w tej wojnie doświadczony i jeszcze straszliwiej skrzywdzony. Wierzy, że młoda, prężna demokracja amerykańska, która wyrosła z protestu przeciw niesprawiedliwości, z umiłowania swobody, z wiary w równe prawo wszystkich ludzi i wszystkich narodów do szczęśliwego życia — pojmie ciężar odpowiedzialności złożonej na nią przez Opatrzność. Wierzy on, że Wielka Brytania podzieli z narodem amerykańskim wielką, historyczną odpowiedzialność za los, za życie, za szczęśliwe, wolne istnienie wszystkich narodów, nieopętanych żądzą rozboju, zaboru i ucisku słabszych.

ALEKSANDER JANOWSKI

TOWARZYSZ BRONI

Kobieta w machinie wojny

W minionych wiekach rzadko kiedy kobieta chwytała za broń. Musiały to być okoliczności wyjątkowej wagi. Joanna D'Arc czy też Emilia Plater — stały się bohaterkami w obliczu straszliwego niebezpieczeństwa swego narodu. Jak dotąd w walkach brali udział mężczyźni. Niewiasta miała być zajęta domem i rodziną.

Rozwój wojen, postępujący za rozwojem wynalazczości i techniki — w maszynę wojny wprzągł także kobietę. Przypuszczalnie nie spodziewała się ona, że stanie się współkolegą walczących, że stanie się ważnym, niekiedy wręcz niezbędnym ogniwem w prowadzeniu wojny.

Nowoczesna wojna staje przed obywatelem nie jako walka jednostek, lub ograniczonych zespołów. Udoskonaliła się i rozwinęła tak niebywale, że jest dzisiaj niczym innym, jak skomplikowaną maszynerią. W maszynerii tej każdy trybik musi być konserwowany. Znajdować się musi pod nadzorem czujnej, wyspecjalizowanej ręki.

Działanie operacyjne dywizji wojska, skrzydła lotniczego czy okrętu wojennego — wiąże się z wielkim aparatem, działającym często o setki mil od walczących. I tam, na tych odległościach, wielokrotnie ręka kobiety w mundurze, jej czujność, inteligencja, spryt, skrupulatność w wykonywaniu obowiązków — są dla walczących cenną, bezpośrednią pomocą.

Machina nowoczesnej wojny zatrudniła kobiety. Odziała je w mundur. Wyznaczyła im miejsce w szeregach. Przygotowała im przydziały. I zapisała długie, wyczerpujące lata służby, pełne oddania się żołnierskiemu obowiązkowi.

Każde Siły Zbrojne w toku minionej wojny powołały kobietę, użytkując jej przydatność na swój sposób. Wykorzystały ją jako ważny czynnik w prowadzeniu wojny. Przydzieliły jej odpowiedzialne posterunki codziennej służby żołnierskiej. Zarówno na lądzie, jak w marynarce i lotnictwie.

Amerykanie mają u siebie szereg służb kobiecych, od obsług kantyniarskich, na pielęgniarkach szpitalnych skończywszy. Kanada powołała WAC, czyli Kobiecy Korpus Pomocniczy.

W Wielkiej Brytanii widzimy ATS w mundurach koloru khaki. Są to niewiasty w służbie wojska lądowego. Obok nich wyróżniają się niebieskimi mundurami WAAF'ki, jak je określa się popularnie. Stanowią one pomocniczą służbę kobiecą w lotnictwie. Ciemno granatowe, w marynarskich strojach WREN'ki, są pomocniczą służbą kobiecą w *Royal Navy* to jest w Królewskiej Marynarce Wojennej.

Dywizje na linii walczą z wrogiem, a ATS przewożą na samochodach niezbędne zaopatrzenie. Lecą dywizjony bombardować kraj wroga, czy też bronić własnych miast przed atakiem z powietrza.

WAAF'ki pracują na sieci łączności, niejednemu lotnikowi wprost umożliwiając powrót na macierzyste lotnisko. Albo — dotarcie do wyznaczonego celu i wykonanie zadania bojowego.

WREN'ki pracują również w łączności. I nie tylko to. Dbają o kantyny i stołówki. Wykonywują tysiąc i jedną czynność kancelaryjną.

Nie walcząc bezpośrednio — kobiety są cennym współczynnikiem, ważnym trybem maszyny wojennej.

Niekiedy w maszynie tej obsługują baterie dział przeciwlotniczych. Są żołnierzami. Wykonywują obowiązek. Niekiedy i giną na posterunku.

I w Polskich Siłach Zbrojnych znalazły się kobiety. Jako Pomocnicza Służba Kobiet pracują w wojsku, marynarce i lotnictwie. Pomówimy o tym obszerniej, na razie stwierdzamy, że w maszynie wojny nie zabrakło, bo i zabraknąć nie mogło — kobiety polskiej, walczącej obok mężczyzny o wolność.

W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy "Polski Walczącej", należy odciąć tę kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. "Towarzysz Broni"' winien docierać do wszystkich.

Gdzie walczył żołnierz polski?

W Belgii, 1944, I Dywizja Pancerna zdobyła Ypres i Gandawę.

W Holandii, 1944, I Dywizja Pancerna zdobyła port Terneuzen i miasta Baarte Nassau, Brede i Moerdijk, Polska Dywizja Spadochronowa walczyła pod Arnhem.

W Norwegii, 1940 Brygada Podhalańska zdobyła Ankenes koło Narwiku.

W Polsce 1939-45. polska Armia Krajowa.

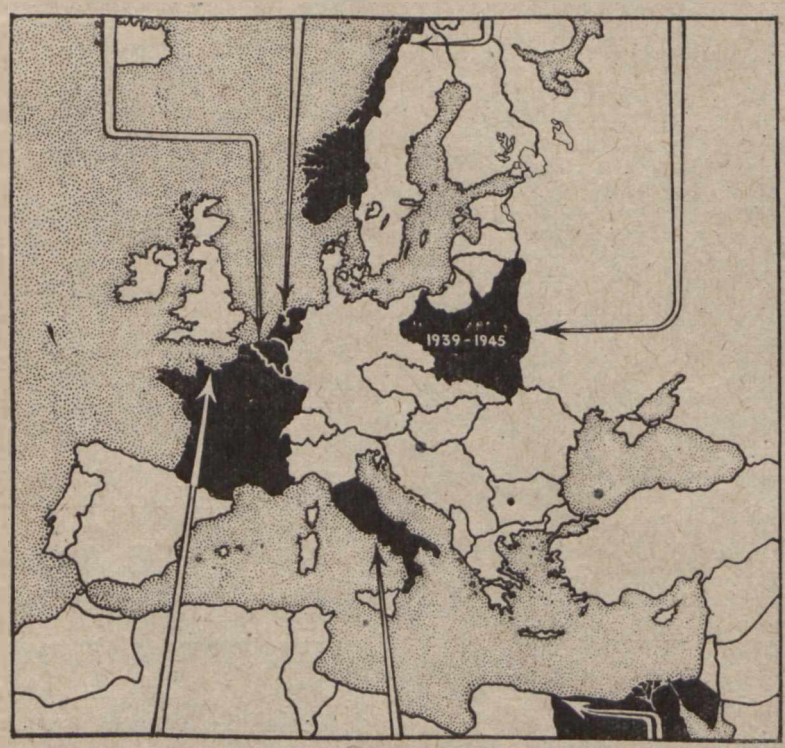

We Francji, 1940, walczyły dwie dywizje piechoty, brygada pancerna kilkanaście kompanii ppanc.; 1944 I. Dywizja Panc. zaatakowała "Falaise Gap," zdobyła Abbeville i St. Omer i t.d.

We Włoszech, 1943, polscy Commandosi walczyli nad Sangro i Caligliano, w r. 1944-45 II-gi Polski Korpus zdobył Monte Cassino, Anconę, Monte Fertina, i t.d.

W Egipcie 1941-43, Brygada Karpacka broniła Tobruku i walczyła pod Gazalą.

Armia Krajowa konfiskuje

W miarę upływu czasu wzrastały potrzeby Armii Krajowej. Krzepła ona organizacyjnie. Liczebnie — powiększała się, przyspasabiana systematycznie do przyszłych zadań. Należało potrzeby zaspokoić.

Kraj znajdował się pod okupacją wroga. Na korzyść wroga pracowało całe życie gospodarcze. Armia Krajowa musiała swe potrzeby zaspakajać "we własnym zakresie". Istotnie tak je zaspakajała. Wprawdzie w drodze niebezpiecznej, ale na ogół mało skomplikowanej. Po prostu skonfiskowała gdzie i co trzeba z zasobów wroga, nagromadzonych w różnych częściach Kraju.

Konfiskaty były przemyślane, dobrze rozplanowane. Towarzyszyło im powodzenie. Było tych konfiskat wiele, bardzo wiele, na przestrzeni wojennego pięciolecia. Wymienimy niektóre, obrazujące całość tego wycinka akcji.

W miasteczku Dobczyce, w województwie Krakowskim funkcjonowała pod nadzorem Niemców garbarnia. Armia Krajowa skonfiskowała tutaj 3,000 kilogramów skóry. Dla uniemożliwienia Niemcom dalszej produkcji — urządzenia fabryczne zniszczono.

W samym Krakowie skonfiskowano poważniejszą ilość środków leczniczych. Wykonawcy, oddział kilkunasto-osobowy, przybyli miejskim autobusem przed budynek wytwórni i hurtowni leków, będącej pod kierownictwem niemieckim. Pracowników wytwórni obezwładniono i uwięziono w jednym pokoju. Następnie, skonfiskowano kilka skrzyń ze środkami leczniczymi. Skrzynie zawierały, między innymi, 10 kilogramów kodeiny, wartości około pół miliona złotych.

Napis "Achtung — Bandengefahr — Einzelverkehr Verboten", ostrzegający Niemców przed obecnością i działaniem Armii Krajowej

Okręg warszawski był również objęty konfiskatami. Konfiskowano wyroby włókiennicze, cukier z magazynów niemieckich. Nawet cynę — z jednej z niemieckich hurtowni. Najpoważniejszą w tym okręgu akcją konfiskacyjną było "pobranie" z wojskowych magazynów niemieckich większej ilości artykułów żywnościowych. Trzeba je było ładować przez parę godzin. Ładowano je wprost na . . . niemieckie samochody wojskowe, równocześnie — także poddane rekwizycji.

Masło, sprzęt chirurgiczny, niemieckie samochody, cukier, kawa, wyroby tytoniowe, skóra — oto przedmioty konfiskowane z powodzeniem. Traciła je niemiecka maszyna wojenna. Brakowało ich niemieckiemu wojsku i władzom okupacyjnym.

Konfiskata była zdobyczą, osiągniętą na wrogu. Stanowiła zaopatrzenie Armii Krajowej. Wprawdzie droga do tego zaopatrzenia prowadziła przez ryzyko, niemniej dawała rezultaty.

Przez swą niezawodność wspomogła ogólne przygotowania Armii Krajowej.

Z walk II Korpusu

Za Mniamcamy!

(Opowiadanie w gwarze Borów Tucholskich)

Jechalim se szosu w piankny czas. Był czerwiec[1]. Wszystko wojsko na last-autdch'[2]. Szosa prowadziła brzegam morza, co go Włochy Adryiatykom nazywaju. Kraj był równy, nie tak jak pod tym Monte Cassino.

Psie skóry Mniamcy! Przechwalali[3] się, że Polauków ani garsteczki nie lostało, tak im, gaudali, w skóra dali. Na, zobauczém, su Polauki czy jich nie ma.

Prauwdziwie nie wielgu ochota my mniejli na to wojna ji nie jedan to by wolał z dziewuchamy, Włoszkamy się gdzieś ale befejl je befejl[4]. To my tedy, radzi nie radzi — za Mniamcamy! Na jo, ale psie wiary zmniarkowali, że jich pandzu Polauki, to ci tak wyrywali przed nami, że nie jedan i portek wdziać nie zdónżył. A my durch, durch[5] za niemy — trzy tygodnie.

Na Piotra i Pawła nasz batalijon nocu cichaczam podsujnół sie pod jejich pozycja nad rzéku Chienti pod Civita Nova. Nad ranam mniejli my sie z niemy rozprawić. Jano[6], że na drugi dziań naszych Mniamczysków coś ci nie słychać. Kazał mnie porucznik wzionść para chłopauków i przeszpérać okolica za rzéku, czy wroga nie ma.

Wzienem sie z chłopczyskamy ji jidziam. Prauwda, że nie na śmniech mnie było. Szlim Mniamcóm prosto w gaurdziel. Próbuja przejńść rzéka, ale głambizna taka, że jano-jano żam' sie nie wtopjil. Co było robić?! Był dycht[7] blisko most zarwany, bo Mniamcy dynamitam wysadzili jego, ale przejńść bez[8] niego było można. Jano nóm zakauzali przełazić bez niego, bo mówili, że Mniamcy go drugi rauz zamninowali i wysadzu go w powietrze, jak sie na niego wgramolim. Fajn[10] gaudać takim, co sie przyśli kómpać do rzeki. Te ci mogu przechodzić najwianksze głambizny, ale nie żałmnierz!

Powiedum wóm, że żam sie tedy w duchu przeżegnał i — na most! Krzycza do chłopauków: — Uważajta pod nogi, na mniny! — Przelecielim jak diabły na druga strona rzéki. Jo, ale nie wszystka robota . . . Przed namy zasieki — przeleść nie można. Obeszlim te zesieki stronu.

Patrzém przed sie i pod nogi — licho nie śpi. Robia przed sobu dziurki w ziamni szpikulcam i szukóm mnin a chłopauki leżu se w dołach z maszyn-geweramy[11], ślepia roztwarte széroko ji patrzu, czy Mniamniec nie stréli do mnie. Zrobiłóm chłopcóm stecka, -to je przejńście bez mniny aż do mniamnieckich łokopów. Patrzym a po tych ścierwach jano paskudne ślady sie łostali. Ale rychtych[12] dobrze sie stało, bo jinaczy, musielibyśta zdrowaśki za naus szeptać.

Zajenim mniasta Potenza i Loreto. Tam żam cichaczam, aby nicht nie widział obejrzał se bazelika. Je to wielgachny kościół. Zara mnie sie wspómniało, że w tym mniescu musiał ktoś litanija napisać, co ju każdy Polauk na pamniańć znau, no bo litanija nazywau sie — loretańska. Je tam ołtaurz polski, a u góry, po stronach na ścidnie dwa malowidła. Na jednym obrazie przedstawione je pranie Turków bez króla Sobieskégo pod Wiedniam, a na drugim widać jak bolszewiki bieru lanie od Polauków nad Wisłu. Fajn, myśla sobie, tera my skóra wygarbujem Mniamcom, to zara może jaki Włoch trzejci obrauz o Polaukach wymaluje.

Mniejli Mniamcy swój ołtaurz w bazelice, jo jo! widziałom go. Ale dziś go nie ma. Myślita może, że to Polauków sprawa? Gdzie tam! Same Mniamcy go zrujnowali. A było tak. Musiał se chyba diabli pociotek Kesselring wspómnieć o tych obrazach nad polskim ołtaurzam i o tym trzejcim, co mniał tam być wymalowany /tak sobie myśla/ i wysłał fligry /dziś sie mówi ojroplany, albo samoloty/ na bazalika, ale nocu nie w dziań.

O jerum! co ci sie za lamant zrobił w mniejście! Toć to je jejich niby Czanstochowa, czy nawet jeszcze świantsze mniejsce. Bomby buchaju, kościół się pauli, krzyki . . .

Jano nasze sapery jak sie nie wziani do roboty, to w trzy pauciérze było po ogniu. No, bo musita pamniantać, że tam był nasz ołtaurz. Dopiéra ci radość! Włochy krzyczu — Viva, grazia Polacchi salvatori![13] Babiny po rankach naszych chłopauków całuju, a dziewuszyskóm jano się ślépia śmnieju do naszych umurzónych saperów . . .

Wej, ale żam sie zagaudał o Loreto, a tam daléj za mniastam rozpantała sie bitwa, jaż strach. Pojechali nasze czołgi i walu Mniamców, aż wiory lecu. Pojechali i my. Trzeba było wykurzyć Szwabów z Ossimo, żeby sie do nich dobrać w Ankonie.

Podeszlim se po cichu do wsi Battia i czekómy na natarcie. Psie skóry, siedziejli dycht zara za wsiu i sieju z tych przeklantych "Spandauów", co warczu jak wściekłe psy. Jak ci taka jucha zawarczy, to jaż ciarki łażu po skórze. Leżym przylepioni do ziamni, bo jejich antyleryja grzała po nas i czekómy na momant natarcia. Trocha tam w dółku każdégo ściskau, jak to przed namnie jiść przed wojskam z mojémy tarciam.

A bodaj waus! Znowu kauzali mnie jiść przed wojskam z mojémy chłopczyskamy i jak sie to mówi, ubezpieczać posuwanie. Czamu to mnie nigdy nicht nie ubezpieczą? No ale poszlim. Ledwie żam przelejźli przez dziury w chróścianym płocie ze trzciny za wsiu, a tu jak nie zacznu warczyć, warczyć "Spandauy", jak nic zacznu wściekle gwizdać kulki kole uszów . . . Ani rusz daléj. Zatrzymali my sie.

Prauwdziwie nas trzech — dwóch chłopauków i jau — wybralim sie na Mniamców. Reszta wojska nie wyszła jeszcze ze wsi. Fróncek i Jónek przykucneli za sztygamy pszanicy, a jau leża na twardej ziamni na górce i myśla, że Szwaby mnie widzu genau[14] tak, jak na talérzu. Nie ruszóm się i udaja nieboszczyka a patrza przed sie. Twardo, ziamnia gniejcie, a co sie trocha poprawia, żeby mnie wygodniej było leżyć to zara: bz! . . . bz! . . . — kulki kole uszów. A niech waus pieróny wytrzasnu! Nie dość tego, jeszcze antyleryja nas obkładau. Furczu odłamki granatów nada mnu, spadaju dycht blisko mnie, a nigdzie najmniejszégo doleczka, żeby sie skryć. Tak umanczyłóm sie dwa godziny leżonc na brzuchu. Już i żebra powgniatali sie mnie do środka.

Ale patrza w lewo, przeda mnu jakie trzy kilomejtry, a tam ci nasza antyleryja take pranie urzondza Mniamcóm, że jaż serce sie śmnieje. Jakby piancdziejsiont chłopa cepamy plewy młóciło i kurz taki sóm jak przy młócce plewów. A dobrze wóm tak!

No ale przyszli nasze czołgi w pomóc i trzepiu po "Herrenvolk'u" co sie skrył za kukurydzu przed namy.

Krzyczy porucznik, żeby ruszać. Skaczem od sztygi do sztygi; reszta mojich chłopców już się za mnu pokazała. Podsujnélim sie do kukurydzy. — Bagnét na broń, granaty do ranki i naprzód! — krzycza. Ale Fróncek i Jónek posłusznie bagnét nałożyli, granaty wziani do ranki, ale naprzód nie jidu. Nie dziwota! To jau podchodza i — Idziam! Nie bójta sie! Patrzta jau z wamy! — mówia. Niby to ja sie nie boja? . . . Poszlim przez kukurydza, a za namy posypało sie całe wojsko. Przeszlim, ogań otworzylim siarczysty z pod pachy w chodzie.

Moiściewy! Bohatéry mniamnieckie z okopów w nogi . . . a insi całkem ducha stracili i ani palcam nie ruszyli. — Hände hoch! — krzyczy wiara. Wybralim cała kompanija Szwabów. Naszych żałmniérzów ani nie drasnéli.

FELIKS REDLARSKI

Przypisy

1/ é — czytaj: y,
2/ wozy ciężarowe,
3/ w gwarze Borów Tucholskich zamiast *a* występuje często: *au*,
4/ rozkaz jest rozkazem,
5/ wciąż,
6/ jeno,
7/ żem,
8/ całkiem,
9/ bez oznacza *przez*,
10/ pięknie,
11/ karabiny maszynowe,
12/ właśnie,
13/ Wiwat, dzięki wam, Polacy oswobodziciele,
14/ dokładnie,

NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Za pośrednictwem "Polski Walczącej" pragnę złożyć tę skromną sumę dla biednych sierot po rodzicach zamęczonych w Rosji. Zał. £2.

A. Korabo

Panie Maria POPŁAWSKA, CZYSTOWSKA, Władysława ze SŁOTWIŃSKICH CZYSTOWSKA /lat 27/ i panna TARGOSZÓWNA poszukiwane. Ewakuowane 2 października 1944 r. z Warszawy, /Żolibórz/ do obozu przejściowego w Pruszkowie,. potem zapewne do Ravensbrück. Jakąkolwiek wiadomość prosimy listem do British Monomark Ltd., BM/POLSKI, London, W.C.1.

WSZYSTKIM SZ. PRENUMERATOROM, którzy nie zapłacili należności, musieliśmy z przykrością przerwać dalszą wysyłkę.

Na Polaków uwolnionych z Niemiec: £1,187

P. Henryk Bernaczek sh.5 z okazji znalezienia za pośrednictwem "Polski Walczącej" bliskiej mu osoby.

* * *

£1 przesłany przez p. Karola Waśniowskiego za egzemplarze uzupełniające do zbieranego przez niego kompletu "Polski Walczącej", redakcja przeznacza na Polaków w Niemczech.

* * *

Na Polaków w Niemczech p. Leopold H. nieprzyjęte honorarium £1.10.0.

* * *

Dla uczczenia ś.p. p. Eweliny Klotzkowej, ochotniczki W.P., przesyłam dla dzieci polskich w Niemczech sumę £3.

M. Płoszajska

For Polish Children in Germany Fund £1.13.2 /one pound, thirteen shillings and twopence/.

Joseph Gill

* * *

Dear Sir,

I enclose £1 /Postal Orders/, which I received from Mr. R. Bruce, 18, Mortinhall Road, Edinburgh, to help liberated Polish prisoners of war in Germany.

Yours faithfully,

Marta Suzin

* * *

Dear Sir,

I enclose two shillings and sixpence, which I received from Mrs. M. Allan, 18, Mortonhall Road, Edinburgh, to help liberated Polish prisoners of war in Germany.

Yours faithfully,

Marta Suzin

Sumę £3.9.6 /słownie: trzy funty, dziewięć szylingów i sześć pensów/, zebraną w czasie wieczoru autorskiego w . . . p.a.l.m. Marian Hemar przeznacza na pomoc Polakom w Niemczech.

Oficer Opieki P.15

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £12.0.2 /słownie dwanaście funtów i dwa pensy/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1187.2.9½ /słownie: tysiąc sto osiemdziesiąt siedem funtów, dwa szylingi i dziewięć i pół pensa/.

ŁATWY PODRĘCZNIK ANGIELSKIEGO

Część II — 30 lekcji ukazała się już w sprzedaży.

Cena 3/-

Części I i II samouczka dają możliwości szybkiego opanowania języka. Słówka (razem 1000) podane są z wymową. Łatwe ćwiczenia, możliwe do stosowania w codziennej konwersacji. Do nabycia w polskich księgarniach i kioskach lub w "CO SŁYCHAĆ," 40, Bruntsfield Place, Edinburgh

Wydawnictwo przyjmuje zamówienia na nowele Sienkiewicza — "Hania i Stary Sługa," cena 6/6, i Słownik Techniczny angielsko-polski cena 4/6. Opłata pocztowa 4d. 1598

POSZUKIWANIE

ORACZ BOLESŁAW poszukuje Helenę ŻELAZKO z Warszawy, Grochowska 331, m. 23 oraz krewnych i znajomych. Wiadomości proszę nadsyłać na adres: 85, Albert Street, London, N.W.1.

Skrzynka pocztowa

MODLITWA ZA POLSKĘ

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę Panu donieść o następującym liście, który był wydrukowany po angielsku w gazecie katolickiej "*Universe*" przeszłego tygodnia.

"Może słowa "*Salve Regina*" stanowia bardzo stosowną modlitwę dla naszych przyjaciół polskich i dla tych, którzy opłakują męczeństwo ich Ojczyzny. Wzywam tych, którzy tak samo myśla jak ja, aby ofiarowali "*Salve*" codziennie Najśw. Matce Boskiej Częstochowskiej. G.L.K."

Zdaje mi się, że jest to bardzo odpowiednia myśl w obecnej chwili, tak ciężkiej w dziejach Polski.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

E. Risley-Hutt

JEDNA DROGA, JEDEN CEL!

Szanowny Panie Redaktorze,

Pięć i pół roku przelewając swoją krew, walcząc przy boku naszych sprzymierzeńców w imię wolności, w obronie praw i zasad demokratycznych, w dużej mierze przyczyniając się do zwycięstwa — myśmy wojnę przegrali.

Dziś, ci żołnierze, którzy swoimi śmiałymi czynami zadziwili cały świat — jęczą w kajdanach, giną w obozach koncentracyjnych, i tajgach Sybiru, lub ci którzy prowadzili walkę za granicami Polski — maja drogę powrotu zamkniętą.

Każdemu z nas nasuwa się pytanie: Dlaczego? Czyżby los naszej Ojczyzny był już przypieczętowany? Gdzie jest sumienie ludzkie? Gdzie jest prawda słów — o silnej, demokratycznej i niepodległej Polsce?

W Polsce rządy totalistyczne i policyjne zastąpiły niemieckich okupantów i w niektórych wypadkach są gorsze. Dlaczego p. Churchill nie staje w obronie tych tak wielkich słów: "Wolność, demokracja i oswobodzenie", kiedy właśnie te słowa są potwornie odzierane ze swego prawdziwego znaczenia! Więc komu wierzyć, komu ufać?

Min. Eden powiedział: "Nie mamy zamiaru uznać komitetu lubelskiego. Uważamy go za organ zupełnie dla Polski niereprezentatywny . . . Dodanie do komitetu lubelskiego jednej lub dwóch osób nie zmieni sytuacji" . . .

Co się stało dziś? Dziś sytuacja "wyjaśniła się". Ktoś pragnie po prostu pozbyć się i nie martwić się sprawą polską. Ku czyjemu zadowoleniu sprawa polska została "pomyślnie załatwiona" . . . Tak nam płacą za naszą przelana krew w obronie demokracji.

Dziś możemy powiedzieć, że zostaliśmy pobici, lecz nie zwyciężeni. Jak powiedział J. Piłsudski: "Być zwyciężonym a nie ulec — to zwycięstwo". Wojna trwa! Walczymy o powrót do Polski wolnej i demokratycznej a nie komunistycznej, rządzonej przez Polaków, a nie przez agentów sowieckich z p. Bierutem na czele. Na razie przed nami droga jest zamknięta, lecz to nas nie przestrasza. W ciągu blisko sześciu lat staliśmy wiernie związani przysięgą przy naszym sztandarze, na którym widnieje dewiza "Bóg, Honor i Ojczyzna", przy naszym prawowitym Rządzie — i teraz w tej tak krytycznej chwili nie opuścimy go. Choćby nas zwolniono z ciążącej na nas przysięgi — nie zmienimy się. Pójdziemy śladem naszych ojców — walczyć aż do zwycięstwa.

Polska musi być silna, demokratyczna i wolna, rządzona przez Polaków a nie przez agentów obcego państwa. Każdy z nas w każdej chwili — jeśli będzie potrzeba gotów jest oddać swoje życie tylko za Polskę. Lepsza śmierć jak niewola.

"Na naszych twarzach tylko z laurów wieniec, lub bladość trupia — nie wstydu rumieniec"!

Oto nasza droga, nasz cel z którego za żadną cenę, żadną groźbą, żadnym naciskiem — nie damy się sprowadzić!

Antoni Mantykowski
Botleys Park War Hospital

W SPRAWIE KONKURSU NA PROJEKT PRZEBUDOWY POMNIKA MARSZ. JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W RZYMIE

Szanowny Panie Redaktorze,

Pisałem już na temat pieniędzy na odbudowę klasztoru na Mte Cassino i zabierałem głos w wielu innych sprawach, które albo leżą odłogiem na naszym terenie, albo sa załatwiane w sposób raczej godny krytyki.

Ostatnio ukazało się ogłoszenie o "konkursie" na wykonanie projektu przebudowy, pomnika marszałka Piłsudskiego w Rzymie. Praca ta ma nie przekraczać kosztów 1 miliona lirów. Nagroda za najlepszy projekt wynosi 10 tys. lirów.

Jestem w środowisku składającym się z pokaźnej liczby młodzieży /kurs maturalny/ i reakcja olbrzymiej większości moich kolegów jest naprawdę godną zanotowania.

Chcę tutaj zaznaczyć nasz stosunek do marszałka Piłsudskiego. Marszałek był naszym wodzem duchowym, a ostatnio stał się nim tym bardziej. Jego imię w ciężkich chwilach było hasłem zbiórki dla samotnych, rozproszonych, poszukujących dróg. Pamiętamy o "nakazie wielkości", który jest wypełniany w dniu każdym z miejszym lub większym nasileniem. Jednak nie chcemy, by ktoś za nas w naszym imieniu występował z projektami mającymi zamanifestować nasz stosunek do Niego. Nie chcemy marmurów, brązów, które maja być uosobieniem naszych uczuć i dążeń. Nie potrzebujemy wznosić pomników na naszej drodze wędrówki /wystarczą groby naszych poległych kolegów/.

Chcemy natomiast u kresu naszej wędrówki zbudować dom

"Gdzieby się polski duch wytłumaczył.
Usymbolizował rozkwitłemi znaki . . .
Gdzieby kamieniarz, cieśla, murarz,
snycerz.
Poeta wreszcie, męczennik i rycerz
Odpoczął w pracy, wojnie i modlitwie.

Za milion lirów można umożliwić kształcenie niejednemu studentowi polskiemu, tak samo za jeden milion lirów można kupić niejedno mydło, lekarstwo, ubranie, o które Panowie proszą w apelu dla uwolnionych z niewoli.

Prosimy o przyjście nam z pomocą i poruszenie tej sprawy na łamach pisma. Nie chcemy, by myślano o nas, że potrafimy tylko budować pomniki z kruchych kamieni. Myślimy o przyszłości i o tym wszystkim, co serca nasze wzbudza do szybszego bicia.

Wyrazy szacunku

Wojciech Łęski

P.S. Piszę w imieniu bliskiej sobie duchem młodzieży 2 Korpusu.

KOMUNIKAT

Związek Dziennikarzy R.P. w związku z podjętymi staraniami przyjścia z pomocą koleżankom i kolegom, uwolnionym z obozów niemieckich, prosi dziennikarzy i aplikantów, którzy dotychczas nie nawiązali kontaktu z Zarządem Związku — o natychmiastowe podanie dokładnych danych i adresów obecnego ich miejsca pobytu. Adres Związku Dziennikarzy R.P.: 38, Wilton Crescent, London, S.W.1.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY POKÓJ POTRWA TRZY TYSIĄCE LAT . . .

ENTUZJASTA "JAMU"

—Wy nic nie robicie tylko cały dzień golicie się!
—A to wszystko przez ten "jam"!
—Dlaczego?
—Gardłem mi już wychodzi! . . .

ROZMOWA W KASYNIE

—Czy pan słyszał, że Hurhil padł w wyborach!

—Niepodobna!

—Sam czytałem w dziennikach!!! . . .

—Pan się myli! . . .

—Nie mylę się — jak Boga kocham, że padł! . .

—Myli się pan! Hurhil nawet nie kandydował — tylko Churchill padł! . . .

WYJAŚNIŁA . . .

Pewną popularną śpiewaczkę-ochotniczkę zapytuja koledzy:

—Dlaczego pani nie poszła do podchorążówki?

—Moi panowie!! Tam trzeba mieć głos do dawania komendy . . .

AUTENTYCZNE

Polski żołnierz rozmawia z sierżantem szkockim. Nagle Szkot odzywa się po polsku.

—Gdzie pan nauczył się po polsku? — zapytuje Polak.

—W Bydgoszczy — byłem tam przez cztery lata w niewoli . . .

—Czy dużo polskich słów zna pan?

—Nie dużo — "dzień dobry", "jak się masz", "Ty moja kochana", "pieprzyć tego co robota jego" . . .

AKTUALNE POWIEDZONKO ANGIELSKIE

. . . "Churchill zrobił swoje, Churchill może odejść" . . .

ZMARTWIENIE SZKOTKI

Babcia szkocka: — Churchill okazał się złym politykiem i mało przewidującym . . .

—Dlaczego???

—Kazał przedwcześnie zburzyć wszystkie "sheltery" a teraz pani Churchill rozbija się za mieszkaniem . . .

PRZEGADAŁ SIE "FACET" Z CENTRALNEJ POLSKI

—Wy z których stron Polski?

—z Poznańskiego . . .

—A wy?

—Z Pomorza . . .

—Wy pewnie też z Pomorza — zwraca się do trzeciego ułana; szef szwadronu.

—Nie, ze Śląska!

—A z Polski nie ma nikogo?

GDZIEŚ W PÓŁNOCNEJ SZKOCJI

—Co się tak gapicie na to zboże?
—Cieszę się, że w jesieni będziemy mieli słomę do sienników . . .

MIĘDZY POLAKAMI

—Pan słyszał, że Churchill ma przestać palić cegara?

—A co będzie palił?

—"Woodbine" — "Łudbajny" . . .

AUTENTYCZNE

Pewien polski oficer wraca z Niemiec, znajomi rzucają pytania:

—No jak wyglądają dzisiejsze miasta, miasteczka niemieckie?

—Wcale nie wyglądają! Są tylko ruiny. Miast nie ma!

—To co zostało?

—O k o l i c a ! . . .

KATEGORIA "E"

Starszy wiekiem pułkownik goli sie w domu.

—Wiesz koteczku — zwraca się do żony pułkownik — że po ogoleniu, czuję się o dziesięć lat młodszy! . . .

—A nie mógłbyś się golić wieczorem? — rzuca pytanie żona.

* * *

Mówią, że Churchill wygrał wojnę, a Attlee — wygrał w o j n ę d o m o w ą.

O CZYM KTO MYŚLI? . . .

Po upadku Churchilla, przedstawiciele różnych narodów, zadają pytania:

Anglik: — Ciekaw jestem, czy król zaprosi Churchilla na obiad?

Szkot: — Zastanawiam się, czy Churchill spędzi holiday w Szkocji czy w Anglii?

Amerykanin: — Interesuje mnie bardzo, ile Churchill palił cygar dziennie i po ile?

Polak: — Ciągle tylko myślę o tym, jaką emeryturę i odprawę dostał Churchill? . . .

POLSKA FLEGMA

Pewien polski dowódca proszony jest na uroczystą party. Grzebie się i w żaden sposób nie może wygrzebać się . . . Adiutant jest zdenerwowany i odzywa się:

—Panie generale, proszę pośpieszyć się — w przeciwnym razie będę się musiał drugi raz ogolić! . . .

MY GÓRĄ! . . .

Polak b. starosta: — Churchill był wielkim politykiem i mężem stanu, ale co do wpływów na wyniki wyborów, to ani się nie umył do naszego Składkowskiego.

PRZY ZMIANIE M.P.

—To chcesz mnie samą zostawić?
—Nie, najdroższa, zostanie jeszcze z Tobą nasz syn . . .

GDY ŻONECZKA PO BOMBACH ZJEŻDŻA DO LONDYNU . . .

Mąż: — Ach moja duszko! Wpadłaś jak bomba V2! . . .

POLSKA MOWA, MA NOWE SŁOWA

— . . . Glasgowa? bosem dostanie się pan.
—Co słyszę, bosem? boso chodzą tam?
Anglia przecież to kraj vieubogi lepiej miech pan powie ile drogi . . .
—To będzie trzy, albo cztery mile, pan po niewoli, o pańskiej sile . . .
—Mile?, co za mile cztery, albo trzy.
Jak tu Polacy mówią?, zdrowi czy? . . .
—Pan mnie nie rozumie, Very sorry . . .
—O Boże, czym w gorączce, czym chory,
very sorry, very sorry, very . . . och, idź pan panie z tym do cholery.
Jeśli między nami polska mowa,
to nie łykaj i nie myl pan słowa.
Polska ma mowę i będzie miała,
szkoda tylko, że takich wydała
co pory w sory — dostaje bosem
Boże, zlituj się nad Polski losem.

J. K. Rojek

Tekst i rysunki: TONY

SPIS RZECZA:

Konny Artylerzysta: Z Zachodem. — *Andrzej Wart:* Lotnik polski /rysunek/. — *Aleksander Boray:* Przegląd tygodniowy. — *Julian Ginsbert:* Wojna na morzu. — *Krystyna Kobylecka:* Z notatek "Häftlinga" /I/. — Wiersze /*Irena Uzakiewicz: ***. Stefan Szonert:* W Mauthausen/. — *Stanisław Sikorski:* "Conrad" w Oslo /Korespondencja własna/ . — *Jerzy Głębocki:* Ręce artystów /Reportaż o polskich mechanikach lotniczych/. — *Eugeniusz Romiszewski:* Wyprawa do obozu prasowego /Korespondencja własna/. — "Towarzysz Broni". — Zbiórki. — Skrzynka pocztowa. —

WYDAJE SŁUŻBA OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press. Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE ?

ST. JAMES' BALM
ANTIVIRUS OINTMENT

DESTROYS GERMS
AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT
Send for FREE SAMPLE
MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd
CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25